

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz
sobót i niedziel — Redakcji
i Administracji 11—14.

Rękopisów nie zwraca się.

Treść numeru:

DR. FELIKS WELTSCH — Przywódca a naród
DR. MAYER EBNER — Wspomnienia z I-go Kongresu Syjonistycznego
INŻ. A. GLIZER — Kонтrewolucja w Iraku
LEOPOLD HALPERN — Pilsudczykowskiej lewicy wczoraj, dziś i jutro
JERZY HALAMSKI — Rozmowa z Karin Michaelis
OUTSIDER — Kiedy znowu wojna?
DR. A. W. — Chiny budzą się
I. BLEIBERG — Narodziny nowego humanizmu
JEHUDA WARSZAWIAK — Listy Dawida Fryszmana
WALTER SCHIRMEIER — Schultz umarł nieodwołalnie... (Nowela)
J. LESER — Miłość Mazepy
MELLY ANDER — Kobiety muszą pracować
Wydarzenia i odgłosy — Antena świata — Notatki bibliograficzne — Teatr

29 sierpnia 1937

WARSZAWA

22 elul 5697

Dr. FELIKS WELTSCH

PRZYWÓDCA A NARÓD

XX Kongres Syjonistyczny został zamknięty. Zgodnie z przyjętymi tradycjami, z mowami pożegnalnymi i dziękczynnymi, z „Hatikwa”. Odbyło się to jednak nieco inaczej niż zazwyczaj. Była godzina 5 p. p., czas zupełnie nie zwykły dla zamknięcia Kongresu — ostatnie Kongresy były zamykane nad ranem po nieprzespanej nocy. Brakowała też pełna humoru wypowiedź Motzina czy Sokolowa. Ostatnia mowa Weizmanna była chłodna. Pozostałe przemówienia — Ben - Guriona, Stephen Wise'a i Uyszkina — to były polityczne mowy, które jeszcze raz poruszyły to wszystko, co Kongres już omawiał w nieskończonych debatach. Nie umiano wprost o dzielić się od tematu podziału. Oceniając rezultaty Kongresu, stwierdzić należy, że przede wszystkim odbył się on pod znakiem projektu podziału. Druga część Kongresu, poświęcona uchwaleniu rezolucji, wyznaczających kierunek pracy we wszystkich dziedzinach działalności syjonistycznej, nie cieszyła się tym zainteresowaniem, jakie poświęcano jej dotąd na Kongresach. Rezolucje nie przyniosły nic nowego — były to tylko powtórzenia i potwierdzenia programu pracy różnych gałęzi pracy palestyńskiej i syjonistycznej. Nie było też prawie rezolucji mniejszości i głosowań rozgrywek.

Także wybór Egzekutywy nie przyniósł nic nowego. Dotychczasowa Egzekutywa została ponownie wybrana bez żadnych zmian personalnych tak przynajmniej większość głosów, jakiej może jeszcze nie miała żadna Egzekutywa. Przeciw padło tylko 6—7 głosów „Judenstaatspartei”. Można więc mówić prawie o jednomyślnym wyborze. Jest to okoliczność pocieszająca, która wpłynie na wzmocnienie Egzekutywy. Wprawdzie nie obeszło się i tym razem bez skomplikowanych rokowań i prób rekonstrukcji. Szczególnie „Mizrachi” żądał dwóch foteli w Egzekutywie. Walki trwały aż do ostatniej chwili, ale nie przyniosły „Mizrachi” pełnego sukcesu. Jedynie mizrachistyczny „podsekretarz stanu” Szapira, podobnie jak dwaj jego koledzy z innych frakcji, uzyskał prawo głosu w kwestiach swojego resortu. Powołano też komisję polityczną, do której weszły m. i. te osobistości, które Weizmann prawdopodobnie chętnie widziałby w Egzekutywie. Publiczne podziękowanie, złożone przez Prezydenta prof. Namier'owi i Leonardowi Steinowi, każe szukać przyczyn w tym właśnie kierunku.

Tak więc głównym rezultatem tego Kongresu jest udzielenie pełnomocnictw do prowadzenia rokowań na temat stworzenia Państwa Żydowskiego w części Palestyny — większością prawie 2/3 głosów. Prawda, nie było to entuzjastyczne wyrażenie zgody. Zresztą na tym Kongresie mało było mów, któreby wyraźnie deklarowały „tak” albo „nie”.

W sposób najostrejszy podkreślano: odrzucenie projektu Peela; bezwarunkowe trzymanie się Mandatu; nie wypowiedzenie „tak” na jakikolwiek podział, tylko na prowadzenie rokowań w sprawie utworzenia Państwa Żydowskiego. Pełnomocnictwa zaś upoważniają tylko do prowadzenia rokowań, ale nie do ich finalizacji w postaci zawarcia układu. Decyzja należeć będzie do nowego Kongresu, ponownie obranego. Bardziej ostrożnego sformułowania u-

chwał nie można już chyba było znaleźć. Mimo to, w trakcie dalszych obrad Kongresu, „Jasager” nie żałował wciąż nowych oświadczeń, że ich „tak” nie było „tak”, ale właściwie tylko inną formą „nie”. Należy otwarcie powiedzieć, że nie czyniło to heroicznego wrażenia, jeśli nawet wpływało z poczucia odpowiedzialności.

W przeciwieństwie do tego ogromnie ostrożnego, nie zupełnie pewnego siebie i obarczonego zastrzeżeniami stanowiska Kongresu — Weizmann tym razem występował z niebywałą siłą. Należy stwierdzić,

że wystąpienia Weizmanna na tym Kongresie były jego *najdonioślejszymi wydarzeniami*. Przed Kongresem stał mąż, który przy całej świadomości błędów i trudności nowej drogi, dzięki znajomości sytuacji politycznej był *wewnętrznie przeświadczony o słuszności nowej drogi*.

Niewątpliwie też „tak” Kongresu należy przypisać wpływowi całej Jego osobowości. Weizmann otrzymał też to „tak”, którego żądał, wprawdzie ograniczone i obarczone zastrzeżeniami, ale wystarczające do prowadzenia dalszej polityki. To było wiel-

kim wydarzenie tego Kongresu.

W istocie rzeczy rozegrała się na tym Kongresie *walka pomiędzy przywódcą a narodem*. Walkę tę prowadzono w warunkach najpełniejszej demokracji i w świadomości najwyższej odpowiedzialności. Tu nie panował przymus, ale wolność; nie rozkaz, ale argument. To było też przyczyną, że tak dużo mówiono, że to „tak”, obarczone jest tyłoma klauzulami. Decyzje dyktatury są na pewno pod względem estetycznym bardziej imponujące. Tutaj zaś walczone z wątpliwościami; tutaj musie-

li przemawiać ludzie ze wszystkimi ludzkimi słabościami; tu dominowała troska o słuszność wybranej drogi. Weizmann zwyciężył nie jak dyktator, ale tak, jak zwyciężyć może demokratyczny przywódca. Wymagało to wielkiej zdolności do rezygnowania z rzeczy małych i politycznej dojrzałości. Weizmann zwyciężył w sytuacji, w której można wtedy tylko słusznie zdecydować, gdy znajdzie się właściwą drogę pomiędzy pozbawionym iluzji oszacowaniem realnych sił a wiarą w potęgę sprawiedliwości i siły życiowe naszego narodu.

Dr. Mayer Ebner

Wspomnienia z I-go Kongresu Syjonistycznego w Bazylei

Byłem syjonistą jeszcze przed wystąpieniem Herzla. Naszym nauczycielem, przywódcą i mistrzem był Natan Birnbaum. Także on stawiał się na wezwanie Herzla do Bazylei. Birnbaum był jednym z niewielu, których osobieście znałem na Kongresie. Nie był on w dobrym nastroju, a z ludzkiego punktu widzenia było to zrozumiałe. Ktoś inny (Herzl) uczynił to na wielką skalę, od razu zwrócił się do świata, a świat ten udzielił mu dopowiedzi. Była to bardziej odmowna niż pozytywna odpowiedź, ale mimo wszystko odpowiedź, echo całego żydowskiego i nieżydowskiego świata. Jak bardzo nieliczna była stunkowo liczba delegatów i gości, to jednak przybyło przeszło 200 mężów i niewiast z daleko położonych krajów i z najrozmaitszych sfer żydostwa. My, młodzi, przyszliśmy z rozwiniętymi sztandarami do Teodora Herzla, a nie mieliśmy przy tym bynajmniej świadomości jakobyśmy odpadli od Natana Birnbauma i okazali mu niewierność. My widzieliśmy w nim prekursora kogoś większego, powołanego do urzeczywistnienia tego, co prorok Birnbaum przepowiedział. Ze jednak prokursor i wykonawca mniej się wzajemnie rozumie, dowiedziałem się dopiero później.

Pamięć moja z fotograficzną wiernością zachowała wszystko, co przeżyłem w Bazylei. Z Czerniowca przybyliśmy w trójkę z moimi już niestety nieżyjącymi przyjaciółmi młodości, dr. Izaakiem Schmirerem i Leonem Pickerem. Wszyscy trzej byliśmy członkami założonej przez nas w r. 1891 naszącej barwy narodowo-żydowskiej korporacji „Hasmonea”.

Oczekiwaliśmy z najwyższym napięciem otwarcia Kongresu, a poprzedzającej ją nocy spaliliśmy bardzo nie wiele. Herzl przepisał na inauguracyjne posiedzenie fraki i białe krawaty. Lubił On teatralność i patetyczność, miał też w tym rację. Kongres obradował w małej sali miejskiego Casina. Była to skromna sala, ale widok galowo wystrojonych panów i pań był uroczysty. Spostreżłem okazałego pana z długą, czarną brodą, czyniącego honory gospodarza. Zwrócił on moją uwagę, nie wiedziałem jednak jeszcze, że był to Teodor Herzl.

Wszyscy byli przygotowani na rozebranie się jakichś sensacji. Niektórzy przybyli tylko z ciekawości. Inni, jak

Sokolów, którego wtedy po raz pierwszy widziałem, podkreślali, że są tylko obserwatorami. Achad Haam — jeśli sobie dobrze przypominam — siedział w jednej z nielicznych łóż, by także zewnętrznie podkreślić, że uczestniczy w Kongresie tylko w charakterze gościa.

ZDJĘCIE Z OSTATNIEGO KONGRESU W ZURICHU.



Stoją od lewej: Naczelnik redaktor naszego pisma Dr. Mojżesz Kleinbaum, Dr. Angelo Goldstein (poseł, Praga-Czeska) i Dr. Mayer Ebner (uczestnik I Kongresu, b. senator rumuński)

Wygłoszona w języku żydowskim, mowa inauguracyjna dra Lippego, była zbyt długa i męcząca. Wszyscy z napięciem czekali ukazania się Teodora Herzla. Gdy ukazał się przy stole prezydyjnym w otoczeniu swych przyjaciół dra Schnirera i Oskara Marmoreka, wszyscy zgromadzeni powstali z miejsc i zgotowali Mu długotrwałą owację. O tym pierwszym ukazaniu się Herzla

przed Kongresem wiele już pisano. Brak słów dla oddania nastroju wznieśli, który zapanował nad zgromadzeniem. Z ust Herzla nie padło jeszcze ani jedno słowo. Stał wysoki, z głową opuszczoną. Oblicze Jego było niebywale blade, tworząc silny kontrast do czarnej brody.

Wiele minut trwały wciąż wznowiające się oklaski. Powiewano też chusteczkami. Owacja była porywająca, a wielu miało łzy w oczach. Moi czerniowieccy przyjaciele i ja ścisaliśmy sobie dłonie, a mnie sływały łzy po policzkach. A On wciąż stał na lekko wzniezionej estradzie, a z ust Jego nie padło dotąd ni jedno słowo. Wszyscy na sali odczuwali rozgrywanie się niecodziennych wydarzeń. Byliśmy świadkami znaczenia i wielkości chwili, które przeżywalismy. Wiedzieliśmy, że oto rozpoczęła się nowa epoka historii żydowskiej. Sam fakt spotkania się ze sobą tak wielu Żydów z całego świata pod znakiem Syjonu — wytworzył nastroj. Było to pierwsze publiczne światowo-żydowskie zgromadzenie od 1800 lat.

Większość uczestników Kongresu składała się z młodych ludzi. Ja miałem wtedy 25 lat. Byłem wtedy — a jestem także dzisiaj — romantycznego usposobienia i sądzę, że bez romantyki syjonizm niczego by nie osiągnął. W mojej ówczesnej fantazji młodzieńczej widziałem w majestatycznym ukazaniu się Herzla — Mesjasza. Nie byłem zaś osobniony w tym uczuciu. W tych chwilach unosiło się nad nami coś mesjanistycznego.

Mowa Herzla była arcydziełem sztuki stylistycznej; odczytał on ją tak, jak król odczytuje swą mowę tronową, a wszyscy byli pod wrażeniem tego dostojnego przemówienia. Kiedy jednak Herzl począł mówić o Jego Cesarskiej Mości Sultanie i o „charterze”, o który zamierzał go prosić, coś uległo we mnie rozdwojeniu. Ja i wielu innych, egzaltowani, wierzący i pełni nadziei, oczekiwaliśmy mistycznego objaśnienia, odkrycia tajemnicy siły czyniącej cuda, która wygnała dzieci Izraela, rozproszona po całym świecie, sprowadzi z powrotem nad brzegi Jordanu. Toteż fakt, że nasz Mesjasz uczynił ukłon w stronę tak powszedniego majestatu, jak turecki władca, prosząc go o tak skromną rzecz, jak pozwolenie kolonizowania Ziemi Świętej, wydało mi się profanowaniem czegoś wzniosłego, co

widzieliśmy w Teodorze Herzlu. My byliśmy wtedy jeszcze bardzo młodzi, a Herzl sprowadził nas fantastów z obłoków i snów na twardy grunt realnych dwóch lat?”

Moje inne wspomnienia osobiste ukazywały się już w różnych książkach, poświęconych pamięci Herzla. Ograniczam się więc do tego, bardzo dziś aktualnego wspomnienia.

Gdy po zamknięciu Kongresu wracaliśmy do domu przez Wiedeń, odwiedziłem Herzla w redakcji „Die Welt”. Tam poznałem też ojca Herzla. Herzl spytał się mnie, jakie wrażenie wyniosłem z Kongresu, Uczyniłem aluzję do oczekiwania, które nie zostało całkowicie spełnione.

Herzl odpowiedział mi ostro i gniewnym głosem: „1800 lat czekaliście wy, Żydzi, a nie możecie poczekać jeszcze dwóch lat?”

Przynajmniej się, że tu znowu coś uległo we mnie rozdwojeniu. Turecki majestat... Charter... Kolonizacja... Wszystko to zapowiadało się na stulecia, a tu Herzl mówi o dwóch latach! Teraz ja byłem trzeźwy, a Herzl wydał mi się fantazją.

Parę tygodni potem Herzl przemawiał, w mowie Jego brzmiała nuta wiary w urzeczywistnienie, które nastąpi w najbliższych latach.

Mnie przedstawiał się syjonizm jako rzecz zakrojona na długi okres czasu. Dopiero po upływie stuleci znajdziemy się u celu — tak wierzyłem jak i tak wierzyło wielu. Dopiero po dwudziestu latach, po proklamowaniu Deklaracji Balfoura, zrodziło się u nas przekonanie, że sami jeszcze możemy przeżyć początek wyzwolenia.

A dziś, po dalszych 20 latach zarysują się już kontury, wprawdzie jeszcze chwilowo małego, Państwa Żydowskiego. Najmłodszy spośród nas, starych uczestników I Kongresu, może jeszcze dożyć do chwili powstania suwerennego Państwa Żydowskiego na wolnej ziemi żydowskiej. Życzę sobie, bym był jednym z nich.

Wtedy okaże się, że rację miał Herzl.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Mister Warburg, dr. Magnes, rabin Rosenheim i „wódz” Żabotyński - przeciw Państwu Żydowskiemu

Cztery różne światy: pałac żydowsko-amerykańskiego notabla i „office” wielkiego bankiera na 5 Avenue — gabinet kanclerza Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie — agudowska bóżnica w Frankfurtu n. Menem — koszaży rewizjonistycznej centrali w Paryżu.

Cztery różne światopoglądy: filantrop „jahudowski”, dla którego dolary są wskaźnikiem miłości do narodu (nie przepaszamy!) dla... biednych Żydów na całym świecie: w wygłodzonej Europie Wsch., w Birobidzianie, także w Palestynie — nieżyjący „idealista”, którego miłość do ideałów jest tak wielka, że przekształca się w patologiczną inklinację w kierunku narodowego samobójstwa, który w iluzorycznej obawie przed ewentualnym skrzywdzeniem Arabów przez Żydów pragnie się zabezpieczyć przed tym w drodze oddania Żydów pod panowanie Arabów — wierny religii żydowskiej ale nie-wierny żydowskiemu narodowi ekstremistyczny ortodoks typu smutnej pamięci „protest-Rabiner”, drżący przed możliwością obudzenia Żydów do pełnego życia narodowego — wreszcie: faszystowsko-militarystyczny secesjonista z szeregow żydostwa, pseudokstremista, twórca systemu syjonizmu frazesu, zewnętrznej parady i wewnętrznej pustki.

Cztery różni ludzie: jahudowski bankier new-yorski — kanclerz (nie rektor!) Uniwersytetu (dzięki poparciu pierwszego) — przywódca ortodoksyjny w dawnym (najgorszym!) stylu — rewizjonistyczny „duce”.

Cztery różne światy, cztery różne światopoglądy, cztery różni ludzie, wychodzący z czterech odmiennych punktów widzenia, spotkali się pewnego dnia ze sobą na jednej drodze negacji twórczych i rzeczywistych wysiłków syjonizmu w kierunku restytuowania Państwa Żydowskiego w Palestynie.

Pierwszy na drogę tę przyszedł — via mała sala posiedzeń w zuryskiej Tannhalle mister Feliks Warburg. Z trybuny Council Jewish Agency notabl żydowsko-amerykański przestrzegali, prosili i grozili: „Jeśli wbrew wszystkiemu nastawiać będziecie na plan Państwa Żydowskiego — a mówię to z całą powagą (ich meine das schrecklich ernst) — nie będziemy mogli iść z wami. Muszę wam powiedzieć, że nie możemy zgodzić się na plan stworzenia państwa. Ja myślę to ogromnie poważnie. Z całą moją miłością do narodu żydowskiego, jako działacza, jako ofiarodawcę, jako człowieka który inwestował w Palestynę, jako przyjaciela — proszę was: nie róbcie tego! Nie wykonujcie złego planu, który będzie tym gorszy, im więcej doń wprowadzicie poprawek. Przestrzegam was, jak przyjaciół.”

W Zurychu osiągnęło się chwilowo kompromis, mimo, że wydawało się — a przyznał to publicznie Prezydent Weizmann — iż rozłam z amerykańskimi niesyjonistami jest tym razem nie unikniony. Chwilowo więc — nie wiemy na jak długo — mister Warburg zszedł na bok z drogi negacji. Ale co będzie dalej? Przecież Warburg zwalcza koncepcję Państwa Żydowskiego, nie dlatego, że jest młody, ale ponieważ nie chce go mieć w ogóle, ponieważ obawia się — jak sam się wyraził — *podwójnego obywatelstwa*. Co będzie dalej?

Co będzie dalej z kanclerzem *Magnesem*? I on odjechał z Zurychu, by znowu na pewien okres czasu milczeć w zaciszu jerozolimskich gabinetów uniwersyteckich, aż do następnego wystąpienia, które znowu wywoła protest i oburzenie żydostwa narodowego. Magnes pragnie li — narodowego państwa arabsko-żydowskiego, w którym my będziemy w praktyce mniejszością rządzoną (czytaj: uciskaną!) Dla milionowych mas żydowskich, tęskniących za wolnością i własnym domem, pragnących, raz wreszcie wyzbyć się pięć niewoli — nie to jest celem syjonizmu.

Trzeci wkroczył na drogę negacji — drogi tej nigdy nie opuszczał! — prezydent „Agudas Israel” reb Jaakow Rosenheim. Z trybuny marienbadzkiego zjazdu światowego „Agudy” (t. zw. „Knesyjo gdojfo”) oświadczył w przemówieniu, zięjącym ogniem nienawiści do syjonizmu: „Po pierwsze granice Palestyny zostały zakreślone na wieki w Biblii. Politycy granic tych zmieniać nie mogą. Powtóre (o to „po wtóre” chodzi przede wszystkim żydowskiemu palestyńczykowi!), gdyby jednak doszło do podziału Palestyny, wówczas państwo żydowskie podpadłoby pod władzę kierowników „Histadrut” i tym samym (?) byłoby skazane na zagładę.”

Ta obawa spędza sen z oczu bogobojnego politykiera i oto w czasie nieprzespianych nocy narodziła się w jego żelazkiej głowie koncepcja czarno-brunatnej intrygi antysyjonistycznej: „Czy Żabotyński jest dobrym Żydem — wywodził reb Jankiel w

Marienbadzie — jest w tej chwili sprawą uboczną (sic!). Należy się związać z każdym, aby osiągnąć złamanie monopolu jednej partii.”

A „wódz” Żabotyński? W to mu tylko graj! Jest przecież zgrany do nitki, jest kompletnym bankrutem. Może więc negowanie twórczych wysiłków syjonizmu i przeszkadzanie ewolucyjnej odbudowie Państwa Żydowskiego uratuje chociaż na chwilę tego politycznego aktora, który nigdy nie przestaje deklamować swego „judenstaatlrowskiego” repertuaru. Jak to nączy brzytwy, tak on chwytą się rozpaczliwie agudowskiej „sztrajmu”. To też po deptakach i pijalniach wódw Mariańskie Łaźnie kręcił się rewizjonistyczny adiutant i hostońscy „profesorzy”, łapiąc za pokot agudowskich intrygantów.

Czy coś z tego wyniknie? Czy uratuje się zbankrutowana „Najce”? Chyba nie. Czy potrafi się choć na chwilę wstrzymać nazywając się rewizjonistycznym adwokatem syjonizmu? Nie ma mowy! Żydowski „gasnący świat” jest skazany na zagładę.

Front Demokratyczny

Ostatnie tygodnie minęły dla świata żydowskiego pod znakiem powstawania historycznych decyzji państwowotwórczych w Zurychu absorbując całą uwagę prasy i czytającej publiczności żydowskiej. W tym samym czasie, mimo, że kalendarzowo miałyby teraz przypadać ogórki, w polskiej polityce wewnętrznej ani na chwilę nie ustaje ciekawy proces przegrupowywania się i wzajemnej walki pomiędzy dwiema, dopiero dokonującymi się, konsolidacjami: prawico-nacjonalistyczną i lewicowo-demokratyczną.

Wydarzenie po wydarzeniu z błyskawiczną szybkością przebiegają przez ekran życia politycznego w Polsce. Zjazd Legionistów w Krakowie — opozycja lewicowo-legionowa i sławkowska — heca konserwy i prawicy na ministra Poniatowskiego — rocznica 15 sierpnia oraz partyjne obchody Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Narodowego — zagadkowy wywiad płk. Kowalewskiego z „Ozonu”, interpretowany, jako taktyczny manewr na lewo...

Na tle tych różnorodnych wydarzeń i krzyżujących się ze sobą sprzecznych tendencji, jako zjawisko pozytywne podkreślić wypada dalsze postępy konsolidowania się żywiołów demokratycznych, który to proces uległ pewnemu wstrzymaniu w ciągu ostatniego półroczia. Dziś charakter

„Ozonu” staje się coraz wyraźniejszy, w związku z tym rozwiewają się też wątpliwości, które jeszcze niedawno mogły krępować swobodę ruchów pewnych elementów tworzącego się Frontu Demokratycznego. O przemianach tych w łonie lewicy *piłsudczykowskiej* piszemy na innym miejscu w specjalnym artykule — tu chcielibyśmy zwrócić uwagę na ewolucję taktyki *Stronnictwa Ludowego*.

Po ostrożnych uchwałach styczniowego Kongresu Stronnictwa w sprawie współpracy z PPS, uroplonie prezesa Rataja i powołania na jego miejsce, b. posła Mikołajczyka. — poczęły krążyć pogłoski, że wśród ludowców przeważają tendencje orientacji na prawo w postaci koncepcji Frontu Morges, czy nawet pewnej kooperacji z „Ozonem” albo z endecją. Pogłoski te ostatnio zostały zaprzeczone i obalone wyraźnie demokratyczną taktyką Stronnictwa w czasie obchodów Święta Czynu Chłopskiego (15 sierpnia).

Ciekawą ilustracją obecnej taktyki Stronnictwa Ludowego jest wywiad z jednym z jego przywódców, ogłoszony w demokratycznym - legionowym „*Krakowskim Kurierze Wieczornym*”:

„Zadaliśmy następujące pytanie:

— Jak się Pan, sztabarowy działacz Str. Ludowego i bliski współpracownik Witosy zapatruje na t. zw. „koncentrację narodową” w tym sensie, że obejmąby ona 1) żywiły legionowe z płk. Kocem na czele, 2) Konserwę, 3) Stronnictwo Narodowe, 4) ONR, i 5) Stronnictwo Ludowe?

Otrzymałmy zdecydowaną odpowiedź:

— Tak pojętą koncentrację uważam za niemożliwą. Wykluczam jakąkolwiek współpracę ze Stronnictwem Narodowym, jak i ONR-em. W Polskim życiu nie ma miejsca na kastet, pałkę, żyłkę. Zresztą z okazji naszego dzisiejszego święta nasuwają mi się nieodparcie wspomnienia: rok 1920, odezwa Witosy i Daszyńskiego do ludu, ucieczka wodza endeków Dmowskiego w Poznańskie...

Jeśli chodzi o żywiły legionowe z płk. Kocem na czele — no, to przecież sam pan w „*Krakowskim Kurierze Wieczornym*” zamieścił wywiad z wicemarszałkiem senatu dr. Kwaśniewskim, który oświadczył, że wszyscy legionieści — to demokraci! Nie mam zbytniego zaufania co do — że się tak wyrażę — ilości żywiołów le-

gionowych, skupionych wokół osoby płk. Koca. Obserwowałem przebieg ostatniego Zjazdu Legionistów w Krakowie i stwierdziłem, że nie było żadnych owacyj na cześć płk. Koca? To daje dużo do myślenia. Poza tym absurdalną jest wprost koncepcja współpracy obszarniczej Konserwy ze Stronnictwem Ludowym.

Jeśli chodzi o samego Witosę, to ten — kto choć trochę orientuje się w sytuacji — wie, że właśnie Witos reprezentuje obecnie w Str. Ludowym skrzydło lewe! Są tu u nas w Krakowie działacze ludowi, którzy byli więcej ugodowo nastawieni, ale obecnie tak ja, jak i moi współpracownicy bez zastrzeżeń akceptujemy plany Witosy.

— A więc Str. Ludowe jedynie przystąpi do „frontu demokratycznego”?

— Tak jest. Tylko ta koncepcja jest brana pod uwagę. Powiem panu więcej: WITOS WYRAZIŁ ZGODĘ BY STRONNICTWO LUDOWE JUŻ ROZPOCZĘŁO PERTRAKTACJE W TYM KIERUNKU! SPRAWA JEST NA NAJLEPSZEJ DRODZE!”

„Jak to w Ozonie ładnie kiedy B. B. z konia spadnie..”

Nagłówek nasz można sobie zanućć na nutę popularnej piosenki wojskowej: „Jak to na wojenne ładnie, kiedy ułan z konia spadnie...” Bo tak się właśnie chce człowiekowi nucić, gdy czyta w *piłsudczykowski* - demokratycznym wileńskim „*Kurierze Powstalczym*” barwny opis zebrania „Ozonu”:

„Usadowili się nie według starzeństwa, lecz powiatami. Każdy powiat miał swoją tarzę, gdzie widniał tymczasowy emblemat Ozonu wiejskiego: kilka kłosów zboża wybiegający z wspólnego snopa. Złośliwi twierdzą, że w najbliższym czasie snop zboża zastępowany będzie przez różgi liktorskie stylizowane na modłę polską i narodową.

Lecz cóż to, czy nimie wzrok myli? Mieczki, „Owupy” śmigają raz tu, raz tam. Często nawet młodzieńcy trzymający straż porządkową, z odpowiednimi opaskami, zbrojni są w ten

emblemat zabronionego oficjalnie obozu. Jeszcze niedawno temu, kilka bodaj miesięcy jakiś sąd skazał młodego człowieka za należenie do Obozu Wielkiej Polski i publiczne afiszowanie się tym — a dzisiaj na zjeździe innego obozu młodzi ludzie oficjalnie niemal korzystają z tego przywileju, pod opiekunkowymi skrzydłami „rdzennych” *piłsudczyków*.

Złośliwi mówią również, że młodzież należąca do Związku Młodej Polski będzie obowiązkowo musiała nosić takie mieczyki, zakazane dotychczas i ścigane sądowno. Przeważają ludzie dobrze wyglądający, w dobre skrojonych garniturach, które świadczą o luźnej łączności z wsią i pracą na roli. Domyślamy się, że to są urzędnicy samorządowi, sekretarze gminni albo zgola „ziemiaństwo”, siedzący na kilkudziesięciu hektarach. Wśród nich tu i ówdzie wyróżnia jakaś twarz tutejszego chłopca, tak jakbyś w świeży zaczyn ciasta wsadził rodzynek.

Zaproszono do stołu prezydialnego pp.: marsz. Prystora, posł. Prystorowa, W. Staniewicz i t. d. Ruch się zrobił, ciekawe, że marsz. Prystor po mimo zaproszenia go do prezydium nie ruszył się z miejsca i przez cały czas zebrania siedział w fotelu, w zamknięciu skubiąc swą ramzesowską brodę. Natomiast p. Prystorowa z uśmiechem patrzyła na salę i matkowała niemal tym słowem miłym, które niby wonna patoka lały się z ust mówców.

Czego tam nie było w tych przemówieniach! I podstawy twórcze i synonimy i kontakty terenowe i dokładna znajomość odmiany słowa naród i narodowy.

Byłem kiedyś na wiecu endeckim. Ale ani połowy tego niebyło! O czasu tylko do czasu wtęczał mowa jakiś epitet i omazał „go sosem zawieszonym z kuchni narodowej” a tu nie tylko sami hyper, supernarodowcy, moster dzieju, rzucający gromy na wszystkich, kto idzie przeciwko nim. Widziałem tam na Sali Miejskiej ludzi, którzy znani byli w czasie sławetnego BBWR z czerwonych, niemal radykalnych przekonań — a dziś.. Dziś bili brawo, tym którzy z trybuny rzucali hasła usmienia z administracji i wojska, elementów niechrześcijańskich i nie po'ak'ich. Jednym słowem ple, ple... ple...”

Sergiusz Piasecki a Dembiński i towarzysze

Demokratyczna „Epoka” czyni porównanie pomiędzy entuzjastycznym ustosunkowaniem się społeczeństwa do słynnego ostatnio więźnia-pisarza S. Piaseckiego a obojętnością tegoż społeczeństwa wobec aresztowania grupy radykalno-demokratycznych inteligentów w Wilnie z *Henrykiem Dembińskim* na czele:

„Sergiusz Piasecki, odsiadujący karę piętnastu lat ciężkiego więzienia na 5-tym Krzyżu, autor głośnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy”, otoczony został moralną opieką społeczeństwa. Głośne apele o darowanie mu reszty kary, ostatnich czterech lat więzienia, skierowane na Zamek do Prezydenta Rzeczypospolitej, świadczą dowodnie o żywym współczuciu ogółu dla jednostki zbłąkanej, która pomimo swej straszliwej i krwawej znaczonej przeszłości nie utraciła cech człowieczeństwa i ma dziś dość silne wewnętrznych aby wspiąć się do życia na wyższym duchowym poziomie.

Ale zwróćmy teraz wzrok ku Wilnu, ku miastu Filaretów i Filomatów, gdzie do więzienia wtórąco żywy kwiat ducha i intelektu polskiego, — młodych pracowników naukowych i bojowników idei: Henryka Dembińskiego, Stefana Jędrichowskiego i Marię Żeromską.

Kogóż tutaj nie uderzy odrębność miary, stosowanej przez społeczeństwo do więźnia na 5-tym Krzyżu i więźniów w grodzie Mickiewicza? Kto nie przystanie ze zdumieniem wobec rażącego kontrastu uczuć: żywych i plomieniunych dla S. Piaseckiego, a zimnych i obojętnych dla H. Dembińskiego i jego kolegów? Co sprawia, że z jednej strony ogół żarliwie ubiega się i tłumnie kółkuje o łaskę dla człowieka skazanego za przemyt i morderstwo, z drugiej zaś głucho i zacięcie milczy wobec losu pisarzy, którzy domagają się bynajmniej nie łaski, lecz sprawiedliwości? Trzeba bowiem dodać, że H. Dembiński i jego koledzy nie są skazani żadnym wyrokiem sądownym i zastosowana wobec nich kara więzienia ma jedynie charakter zapobiegawczy.

Inż. A. Glizer

Kontrewolucja w Iraku

(Korespondencja własna „Steru” z Palestyny)

30 października 1936 dokonał generał Bekr Sidki Pasza rewolucji w Iraku. 12 sierpnia 1937 padł tenże generał na lotnisku w Mosulu od kuli żołnierza. Żołnierz oświadczył, że pomścił w ten sposób generała Dżafar Paszę al Askari, ministra wojny, zastrzelonego w przeddzień owego 30 października. Tamte strzały oznaczały rewolucję, te kontrewolucję. Oficerowie obdzili bowiem urzędy państwowe w mousulskim zagłębiu naftowym i doprowadzili po dwóch dniach do „dobrowolnego” ustąpienia rządu Hikmeta Suleimana, za którym stał w charakterze nieoficjalnego dyktatora, a oficjalnego szefa sztabu generalnego — Bekr Sidki. Nowy przewrót wojskowy zlikwidował w ten sposób rezultaty poprzedniego i przywrócił „ancien régime”. Na żądanie wojska zamianował bowiem teraz król Gazi premierem Dżemil Beja al Madfai, który stał kilkakrotnie na czele rządu za panowania Feizala i który należy do tych samych kół przyjaciół Feizala, które rządziły w Iraku do pierwszego przewrotu.

Zamordowany przed 10 miesiącami generał był aktywnym uczestnikiem „powstania na pustyni”, którym Lawrence i Feizal przewodzili. Zamordowany teraz Bekr Sidki był w owych czasach oficerem tureckim. Imię jego stało się znane o wiele później. Sława jego wyrosła na ruinie starego narodu Asyryjczyków. Dokładnie cztery lata temu rząd Iraku, ledwo zwolniony z opieki angielskiego mandataria, ogłosił, że chrześcijańskie szczyty Asyryjczyków, mieszkające od niepamiętnych czasów w okrogu Mosulu, zbuntowały się. Wyślano „ekspedycję karną”, na której czele stanął pewien brygadier — Kurd. Był nim właśnie Bekr Sidki. Dokonał on imponującej rzezi, a za powrotem fetował już go „cały Bagdad” jako bohatera narodowego.

Stąd powstała jego sława jako „żelaznego męża” Iraku i jego specjalność jako „pogromcy buntowników”. Ogółem nie mniej niż pięć rewolucji słumionych miał za sobą w dniu śmierci. Pięć słumionych „rewolucji” rozmaitych mniejszości narodowych i religijnych i jedną udaną — swo-

ją własną. A teraz „przyszła kryśka na Matyska”.

Trudno przeniknąć wszystkie sprężyny tych wydarzeń. Jest w nich zapewne nie mało zwykłej rywalizacji koteryj, grupki i ambitnych jednostek, które trzymała w pierw na wodzy obecność Anglików i silna osobistość Feizala. Autorytet jego młodego syna nie wystarczał po temu i tak stał się Irak widowiskiem dwóch typów „południowo - amerykańskich” przewrótów, kiedy to jeden generał obala drugiego aby z kolei ustąpić miejsca jakiemuś trzeciemu. Ale i południowo-amerykańskie rewolucje nie są czystą grą zawiści osobistych. Kryje się za nimi często rywalizacja sprzecznych interesów mocarstw i kapitałów.

To samo — i tak samo niewyraźnie — miało miejsce w Iraku. Bekr Sidki został zabity w chwili, kiedy sztykował się do odlotu na manewry do Turcji, a potem do Niemiec. W tych dwóch nazwach widać, jak w zwierciadle, całą jego politykę. Zerwanie z panarabizmem z jednej strony, zerwanie z wyłącznością związku z Anglią z drugiej oto jej cechy. Jedno i drugie nie było kompletne. Wiadomo, że w okresie dyktatury Irak związał się przymierzem z niearabskimi państwami Azji, Turcją, Iranem (Persją) i Afganistanem. Wiadomo, jak rozbił jednolity front arabski przeciw Turcji w konflikcie o Aleksandretę. Wiadomo zarazem, jak gorliwie i żarliwie protestował przeciw podziałowi Palestyny w imię wspólnoty arabskiej (której nie było widocznie wcale przy sprawie Aleksandrety) były premier Iraku, Turek Hikmet Suleizman.

Podobne zgryzaki były w stosunku do Anglii. Bekr Sidki nie zerwał z Anglią. Przeciwnie, starał się o utrzymanie poprawnych stosunków i nawet zaprosił dopiero niedawno angielską misję wojskową doradcą dla spraw modernizacji armii. Ale zarazem nawiązał kontakt wojskowy i gospodarczy z Niemcami i odwołał w ten sposób stare spory o linię Berlin — Bagdad, które tak doniosłą odegrały rolę w przygotowaniu wojny światowej.

Koła, które teraz wróciły do władzy, są dalekie od taktyki wygrywania przeciw-

ności, którą starał się stosować Bekr Sidki. Są one zdecydowanie panarabskie i zdecydowanie pro-angielskie. Są to wszak te same koła, które przy pomocy Anglii stworzyły niepodległość Arabów.

Według starej żydowskiej tradycji należy zapytać: czy to będzie dobre dla Żydów? W danym wypadku interesuje nas oczywiście wpływ wydarzeń w Iraku na Palestynę. Trudno powiedzieć poprostu: tak lepiej albo tak gorzej. Wzmocnienie panarabizmu podnosi zainteresowanie dla spraw Palestyny, ale zwalnia zarazem od obowiązku afiszowania się w odpowiedniej chwili wiernością arabską, która doprowadziła poprzedniego premiera do jego wprost niewiarygodnie ostrych wystąpień w sprawie Palestyny. Także bliższy związek z Anglią ma swój wpływ. Jeśliby chcieć sformułować zmiany lapidarnie, można by powiedzieć: nie będziemy mieli więcej oświadczeń w stylu Hikmet Suleimana, za to możemy przy okazji mieć interwencję w rodzaju przelocznego pośrednictwa Nuri Paszy, ministra spraw zagranicznych Iraku, który od przewrotu przebywał na wygnaniu, a teraz wraca do Bagdadu. Co lepsza, to kwestia gustu i koniunktury.

Jedna konkluzja jest wszakże jasna: wszelkie próby budowania polityki syjonistycznej na związku z krajami otaczającymi są zawodne. Kraje te są na to zbyt jeszcze dalekie od dojrzałości i stabilizacji politycznej. Rzeczą polityki naszej jest największe możliwe wyzyskanie zmieniającej się sytuacji w świecie arabskim, wyciągnięcie maksimum pożytku z każdej koniunktury i każdego wydarzenia, zmniejszanie zarazem do minimum ewentualnych szkód i niebezpieczeństw. Dlatego tak bardzo nas interesuje wszystko, co się u bliższych i dalszych sąsiadów naszych dzieje. Ale tak w tej, jak i w innych sprawach, nie mieszkamy środka z celem. Nie robimy sprawy praktycznej ideału albo zgola misji. Układ o wzajemnej pomocy między Weizmannem a Feizalem, a nie propozycje Samuela o Palestynie jako części federacji z 40%-ową mniejszością żydowską, oto właściwy drogowskaz w tej dziedzinie.

TEL-AVIV, 22.8.37.

LEOPOLD HALPERN

Piłsudczykowskiej lewicy wczoraj, dziś i jutro

Cisnęło się już nam pod pióro, przy formułowaniu nagłówka, określenie przyjęte w naszej terminologii politycznej: „SANACYJNA” lewica — zreflektowaliśmy się jednak rychło i zaniechaliśmy tego. Przypomnieliśmy bowiem sobie, jak to kilka dni temu w przypadkowej rozmowie z „sanacyjnym” publicystą użyliśmy tego właśnie określenia, na co usłyszeliśmy pół żartem, pół serio wypowiedzianą uwagę: „Proszę Pana, DZIŚ słowa „sanator”, „sanacja”, „sanacyjny” — to określenia OBRAŻLIWE...”. Bóg z nimi! My przez lata całe polemizując z „sanacją”, nigdy tego określenia nie traktowaliśmy jako komplement, jeśli więc dziś także niektórzy „sanatorzy” poczynają się z nami zgadzać choćby w tej drobnej kwestii terminologicznej — możemy się tylko cieszyć.

A nie jest naszym zamiarem tym razem docinać czy nawet polemizowanie. Nie o t. zw. obozie pomajowym, czy też rządzącym pragniemy bowiem pisać, ale o jego lewicy, o PIŁSUDCZYKOWSKIEJ LEWICY. Politycznie jest to pojęcie mało określone, o płynnych granicach, do tego zaś: wcale skomplikowane. Polemizować zaś można z dwiema politycznymi o wyraźnie zarysowanym obliczu — w stosunku zaś do grup i kierunków jeszcze nie skrystalizowanych wypada raczej stosować metodę WYJASNIANIA. To właśnie zamierzamy zrobić.

Przede wszystkim: co znaczy to zagadkowe określenie „PIŁSUDCZYKOWSKA LEWICA”? Pamiętamy przecież czasy, gdy „piłsudczykostwo” i „lewicowość” — to były synonimy. Tak było w okresie walk o Polskę Niepodległą i Ludową, prowadzonych przez P. P. S. pod wodzą Józefa Piłsudskiego, tak było w czasie legionowych bojów, gdy polska młodzież socjalistyczna i ludowa walczyła pod dowództwem Komendanta, tak było u zarania Niepodległości, gdy w kraju, w Sejmie i w rządzie polskie partie lewicowe pod duchową egidą Naczelnika Państwa kruszyły kopie o demokrację i sprawiedliwość socjalną w Polsce, tak było w maju 1926 r., gdy pułki Marszałka, przy czynnym poparciu tejże lewicy polskiej, dokonały przewrotu przeciw rządowi polskiej reakcji. Piłsudscy rekrutowali się wtedy z szeregów stronnictw lewicowych, stronnictwa lewicowe szły za Piłsudskim, pojęcia piłsudczyków i lewicowców niemal pokrywały się ze sobą. Nie miało więc wtedy logicznego sensu mówić o „piłsudczykowskiej LEWICY” bo PRAWICA piłsudczykowska w ogóle nie istniała, bo WSZYSCY piłsudscy byli lewicowi.

Toteż właśnie, używając naszego terminu, nie stosujemy go do pepesowsko-legionowo - narutowiczowskiego przedwczoraj piłsudczyków, ale do ich pomajowych wczoraj i ozonowego dziś. Albowiem nie upłynęło dużo czasu od przepojonych wielkimi nadziejami pa-

miętnych dni maja, a obok trzech brygad legionowych poczęły, niczem grzyby po deszczu, wyrastać następne „brygady”, aż do czwartej, piątej, czy nawet szóstej włącznie! Były to oportunistyczne, przeważnie prawicowe elementy, które jednak nie zasymilowały się do ducha i tradycji pierwszej brygady, ale wręcz przeciwnie: coraz to butniej i jawniej poczęły ton nadawać obozowi „pomajowemu” i jego — dziś można to już otwarcie pisać — niefortunnej organizacji: B.B.W.R..

Tak narodziła się konieczność wyodrębnienia się piłsudczykowskiej lewicy, która pewnego pięknego dnia przekonała się, że z pozycji JEDYNYCH żołnierzy Komendanta została zepchnięta do roli JEDNEGO Z ELEMENTÓW politycznego obozu Marszałka, i to elementu wcale nie najbardziej wpływowego. Nastąpiło więc wyodrębnienie się, ale tylko w sferze pojęciowo-ideologicznej — nie zaś w dziedzinie czynnej polityki. Politycznie lewica piłsudczykowska nigdy w okresie od maja 1926 do maja 1935 nie potrafiła się zdobyć na zajęcie własnego, a więc lewicowego i demokratycznego stanowiska. Przeciwnie! Żyrując po cichu lub nawet głośno wszystkie akcje B.B.W.R. i poczynania rządu, ułatwiała tworzenie sztucznej zasłony dymnej nad licznymi, wyraźnie antydemokratycznymi i antylewicowymi posunięciami systemu pomajowego.

Odbiło się to druzgocząco na czystości

ideowego oblicza tych elementów o pięknych, często, tradycjach, pozbawiło to ich wszelkiego znaczenia i wpływu, zarówno na politykę obozu rządzącego, jak i na nastroje niezależnego społeczeństwa. Wytworzyła się przepaść nie do przebycia pomiędzy wolnościowo-radykalistyczną frazeologią tych kół, a ich antydemokratyczną i reakcyjną socjalnie praktyką. Wytworzenie się takiej przepaści zawiera w sobie elementy politycznej niemoralności, demoralizuje na wewnątrz, odstrasza na zewnątrz.

Z.Z.Z. Jędrzeja Moraczewskiego propagował wśród robotników hasła radykalizmu socjalnego, które w czasie wyborów sejmowych 1930 r. mogły współzawodniczyć z komunistycznymi, ale w czasie tychże wyborów przywódca jego kandydował na listach B.B. obok reakcjonistów. Związek Nauczycielstwa Polskiego stale i konsekwentnie hołdował ideologii demokracji i postępu socjalnego, ale jednocześnie był bodaj najaktywniejszym elementem w działalności organizacyjnej tegoż B.B. „Legion Młodych” w pewnych okresach niemal bolszewizował, ale w tym samym czasie entuzjastycznie spełniał funkcje straży porządkowej na wiecach p. Światalskiego. Ale najaskrawiej ta przepaść pomiędzy słowami a czynami, ta niemoralna rozpiętość pomiędzy teorią i praktyką — uwidoczniły się na łamach prasy lewicy piłsudczykowskiej. O „Kurierze Poranny”, który w tamtym okresie uchodził

za czołowy organ tych kół, krążyło np. dowcipne powiedzenie, że owszem, jest on za demokracją i przeciw faszyzmowi — za demokracją... we Francji, a przeciw faszyzmowi... w Niemczech! A w Polsce? W Polsce propagowało się radykalne teorie, żyrując jednocześnie antydemokratyczną praktykę dnia codziennego. Tak było z „Kurierem Poranny”, tak było z całym obozem, który symbolizował.

DZIŚ lewicy piłsudczykowskiej (przyjmujemy, że słupem granicznym pomiędzy „wczoraj” a „dziś” jest maj 1335 roku) różni się niewątpliwie od W CZORA], ale nie potrafiło dotąd wyborczą plk. Sławka i na udział w wyborach-nominacjach. Nie mniej jednak przedstawiciele tegoż Z.Z.Z. weszli jeszcze do obecnego sejmu. Dopiero silny podmuch z Zachodu, który w r. 1936 dotarł do Polski, powodując szybkie i poważne podniesienie się wpływów obozu demokracji polskiej z P.P.S. i Stronnictwem Ludowym na czele, dopiero udział Naczelnego Wodza w demonstracji nowosieleckiej — zakttywizowały lewicę piłsudczykowską. Powstały nowe koncepcje przegrupowań politycznych na gruzach zlikwidowanego B.B.W.R., poczęto co raz głośniej mówić o wielkim froncie demokratycznym, który objąłby lewicę opozycyjną i piłsudczykowską. Mówiono, pisano i przygotowywano się, aż... plk. Koc nie ogłosił swej deklaracji.

Stare błędy i nauki poczęły się znowu mścić na taktyce, tym razem już tylko części, lewicy piłsudczykowskiej. Ta część widzi w dyscyplinie wobec przywódców i w poczuciu solidarności z wszystkimi elementami obozu rządzącego, przeszkodę nie do przebycia na drodze konsekwentnego wcielenia w życie ideologii demokratycznej, której — spodziewamy się — szczerze hołduje. Dlatego, siłą bezwładności, przystąpiły do Ozonu takie elementy, które żadną miarą przystąpić doń nie potrzebowały, dlatego nie wyciągnięto rzeczywistych konsekwencji ze sprawy wawelskiej, dlatego zjazd krakowski Związku Legionistów zakończył się tylko na cichych rozmowach i rozrzucaniu demokratycznych odezów, dlatego jeden z wybitnych przywódców lewicy piłsudczykowskiej, wice-marszałek obecnego senatu, dr. Kwaśniewski wypowiedział w wywiadzie prasowym te nad wyraz charakterystyczne słowa: „W O.Z.N. nie odgrywam czynnej roli. Ponieważ po ogłoszeniu deklaracji plk. Koca Związek Legionistów Okręg Krakowski zgłosił przystąpienie do O.Z.N.-u wobec tego jako prezes tego Związku, figuruję w spisie. To jest jego cała łączność z O.Z.N.-em. Nie ma dwóch zdań, że wszyscy legioniści do demokracji. Wysilił przecież ze szkoły Komendanta, który był demokratą. Stoją twardo na tym stanowisku i z nikim takim, który się różnił z Komendantem, rozmawiać nie będą!”

Bardzo pięknie, ale przecież Ozon z nimi rozmawia i nie tylko rozmawia! Czemu więc demokracja, przeciwnik endecji, dr. Kwaśniewski, do „Ozonu” formalnie należy? Czy tylko dlatego, że z Krakowa na ul. Matejki przesłano listę wszystkich członków miejscowego Zw. Legionistów?

Tak wygląda jeszcze DZIŚ piłsudczykowskiej lewicy. Nie mniej jednak z dniem każdym wyzbywa się ona zgnębioną politycznie nalogu niesamodzielności, z dniem każdym staje się bardziej konsekwentna, z dniem każdym co raz więcej się aktywizuje. Nie osiągnięto jeszcze realnych rezultatów politycznych, ale akcja trwa, a dynamika jej wzrasta. Powstaje i rozwija się prasa, której celem jest obrona demokratycznej spuścizny Komendanta przeciw znanym koncepcjom ostatnich miesięcy. Co raz częściej na tle aktualnych wydarzeń politycznych demokratyczni piłsudczycy zajmują własne, odrębne stanowisko.

Czy akcja ta doprowadzi do rezultatów? Czy JUTRO piłsudczykowskiej lewicy będzie inne niż W CZORA], a zgodne z chlubnymi tradycjami niepodległościowo - wolnościowego W CZORA]? Od odpowiedzi na powyższe pytania w znacznej mierze zależą kolejne walki o Polskę Demokratyczną, która toczy się w kraju, udzielił zaś jej lewicowi piłsudczycy mogą nie mówami, nie proklamacjami i artykułami — ale tylko KONSEKWENTNYMI CZYNAMI.

Rozmowa z Karin Michaelis

Marszałek Józef Piłsudski o Żydach

Wybitna i głośna pisarka duńska, Karin Michaelis, w swej twórczości literackiej nie zajmując się na ogół problemami socjalnymi; nie mniej na podstawie licznych jej powieści, nie trudno wyprowadzić wniosek, że sławna ta pisarka jest przeciwniczką teorii rasowych. Karin Michaelis rzadko wypowiada się poza granicami jej książek; nie występuje na meetingach i publicznych zgromadzeniach, nie zajmuje się pracą dziennikarską. I dlatego też obiektywnie mówiąc, nie byłam całkowicie przeświadczone o społeczno politycznym nastawieniu znakomitej dunki, nim używałam z nią „poufną” rozmowę. Atoli intuicyjnie wyczuwałam, że autorka „7 siostr” nie może być ani rasistką, ani antysemitką. Jej piękne, głębokie myśli osnute na tle powieściowej akcji, jej nad wyraz subtelne refleksje tu i ówdzie porozrzucone, a dotyczące głębokiej krzywdy ludzkiej i niesprawiedliwości negują a priori wszelkie hipotezy o jej ewentualnej rasistowskiej orientacji.

Sędziwa pisarka przyjęła mnie w hotelu paryskim, gdzie przejeżdżałam na kilka dni się zatrzymała. Wypytała mnie dokładnie o cel mej wizyty, po czym oferując mi papierosa odrzekła z przemitym wdziękiem:

— Myślę, że mój stosunek do Żydów pojmie pan już z tą chwilą, gdy powinszuję panu tej żmudnej, a zarazem wdzięcznej i pożytecznej pracy, mającej na celu pouczenie opinii publicznej o bezsensie i obłudzie rasizmu. Ankieta pańska mnie żywo interesuje, ponieważ jest ona dziś niezmiernie aktualna i powiedziałabym nawet konieczna. Zabierając w niej głos jestem jednocześnie z tego powodu szczęśliwa, że spotyka mnie zaszczyt znalezienia się w szeregu innych intelektualistów niezawodnie demaskujących fałsz i złą wolę zawodowych demagogów rasistowskich, z drugiej znowu strony czuję się nieszcześliwa, nie mogąc poruszyć interesującego pana zagadnienia z punktu widzenia nauki, lub polityki.

Jestem dulką, urodzoną i wychowaną w kraju, w którym mieszkańcy nie łatwo dają się wciągać do jakiegokolwiek bądź ruchu zmierzającego do poniżenia ludzkiej godności i ludzkiego honoru. Rasizm jest nie więcej, jak narzędziem poniżenia człowieka, formą deprecjonowania jego wartości duchowych, moralnych i fizycznych. Oczywiście kto w takim kierunku zdąży i kto tego rodzaju kryteria pragnie sobie przyswoić, ten gotów jest i odnośnie teorii budować. Ludzie etyczni, ludzie cywilizacji XX wieku, którzy posiadli pewną moralność i do pewnego stopnia rozwinęli w sobie zmysł sprawiedliwości, muszą wszelkie odmiany rasizmu traktować z pogardą i obrzydzeniem.

W moim kraju nie ma antysemityzmu, a gdyby miał on u nas miejsce, wstydylibyśmy się przyznać do mojej własnej ojczyzny. Nie jest mi jednak obcy fakt, że w pewnych krajach europejskich nienawiść rasową wysunięto do znaczenia religii, zmuszając do przestrzegania jej w sposób najbardziej drakoński. O ile mi wiadomo, „ten rozkaz z góry” nie zawsze skutkuje i znaczna część społeczeństwa chrześcijańskiego, jakkolwiek nie jawnie stawia temu opór, nie

mniej korzysta z każdej sposobności, ażeby zadokumentować wobec mniejszości narodowych swoje przywiązanie i sympatie. Mam tu na myśli Niemcy. Inaczej jest jednak w innych krajach, gdzie zamiast rozkazu z góry mamy zwykły akt tolerancji antysemitkielnych wyczynów niedouczonej polityków i działaczy społecznych. W tych krajach, o niewielkiej kulturze zachodnio europejskiej, gdzie świadomość trwałych doktryn socjalnych nie zdążyła się jeszcze zakorzenić wśród szerokich warstw mieszczaństwa, antysemityzm przybiera ostrzejsze formy, staje się po prostu bestialstwem.

Byłoby mi trudno na poczekaniu odpowiedzieć w jaki sposób należy walczyć z tą rasistowską i antysemitką plagą. Zdaję sobie sprawę z okoliczności, że walka ta zależna jest zarówno od miejsca, jak i od ogólnych warunków i możliwości w danym kraju. Na przykład w Niemczech hitlerowskich nie sposób domagać się od opinii publicznej niemieckiej, ażeby wpłynęła i jakikolwiek bądź sposób na instytucje rządowe w kierunku przywrócenia Żydom ich praw obywatelskich z czasów Weimarskiej konstytucji. Nie jest to możliwe, albowiem eksterminacja w stosunku do żydów prowadzi sam rząd otwarcie i oficjalnie. Natomiast inaczej się rzecz przedstawia w innych krajach, gdzie rząd wypiera się jakiegokolwiek walki skierowanej przeciwko Żydom. W tych krajach otwiera się szerokie pole działania dla tych, którzy dążą do unicestwienia antysemityzmu, lub tylko do jego przytępienia.

Tam gdzie istnieje wolna nieskrępowana rządowymi restrykcjami opinia publiczna, tam winę za rozruchy antysemitkielne ponosi przeważnie opinia. Jeśli jakikolwiek rząd deklaruje się jako republikański i demokratyczny, opinia ma nie tylko prawo, ale i obowiązek skłonić rząd do nieuchybiania zasadom demokratycznym i nakładow konstytucyjnym. Opinię wytwarzają ludzie pióra. Ich przeto zadaniem jest położyć głos protestu przeciwko istnieniu stanowowi rzeczy. Skoro tego nie czynią, wystawiają sobie złe świadectwo i kompromitują swój własny kraj.

Ale niesłuszne i niekompletne byłoby orzeczenie, że jedynie opinia publiczna decyduje może o ukróceniu antysemitkielnych. Główna wina bowiem spoczywa na istniejących publicznych instytucjach. Antysemityzm może zostać zlikwidowany wraz z likwidacją dotychczasowych instytucji społecznych i ekonomicznych. W krajach wybitnie kapitalistycznych, w których rządzą banki i w których głos decydujący na bieg życia publicznego ma finansjera — antagonizm rasowy i narodowościowy staje się objawem zrozumiałym normalnym, gdy uprzytomnimy sobie opór zachowania swych przywilejów gospodarczych przez kapitał w chwili, gdy nowy duch epoki i postępu socjalnego podważa byt tych dotąd górujących sfer. Antysemityzm wytwarza kapitaliści. Widząc w nim kląpę bezpieczeństwa dla swoich zagrożonych pozycji. Dowody tego znajdujemy w poszczególnych reżymach politycz-

nych Europy. Tam gdzie do głosu dochodzą masy ludowe, niezliczone rzesze pracownicz, tam antysemityzm nie ma znaczenia. I odwrotnie: w państwach grawitujących do systemu rządzenia przy pomocy knuta, dyktatury i kapitału, przy pomocy metod rugujących wpływ szerokich warstw społecznych na kształtowanie się państwowej rzeczywistości — nienawieć rasowa staje się głównym elementem w walce posiadających warstw przeciw ich wrogom.

Mój nader serdeczny i życzliwy stosunek do Żydów zrodził się na skutek własnych moich przeżyć. Będąc jeszcze w gimnazjum stwierdziłam, że dziewczęta żydowskie, klasowe moje koleżanki, najlepiej się uczyły i najbardziej zdradzały chęć do ukazywania usług i pomocy. To były moje przyjaciółki. W konserwatorium profesorem moim był Żyd, wybitny znawca muzyki. Nazywał się on Bendigo. Wszyscy go ogromnie cenili i szanowali; wszyscy go lubili. W Danii, gdy zachodzi potrzeba zrealizowania jakiejś kwesty publicznej, zawsze Żydzi okazują największą ofiarność; kto sam materialnie datkować nie może, ten ofiaruje swój czas dla dokonania zbiorów. Żydzi mają gorące serca i wyjątkowo rozumienie dla cudzej niedoli. Żydzi mają wybitne zdolności intelektualne, wielkie zamiłowanie do muzyki i sztuki. Żydzi lubią też pieniądze, ale ośobiście nie uważam tego za ich wadę. Kto uczy się jakiegokolwiek historii średniowiecza i kto nie chce zamykać oczu przed zjawiskami aktualnymi, ten wie, że ludzie szukają zarobku tam tylko, dokąd mają dostęp. Przed Żydami, szczególnie w zachodniej i centralnej Europie zamyka się drzwi do pracy w urzędach państwowych, w instytucjach municypalnych, w wielkich przedsiębiorstwach, prywatnych... Nie tedy dziwnego, że szukają oni pracy zarobkowej w dziedzinie handlu, na terenie giełd pieniężnych i nawet w ryzykownych przedsięwzięciach giełdowych. Na przestrzeni całej historii nadawano Żydom prawa i odbierano je. Konfiskowano majątki żydowskie. Czyż ów pociąg Żydów do pieniędzy nie został im imputowany przez ich wrogów? Czyż dziwić się musimy, że człowiek stara się bronić tego, co krwawi własną zdobytą? Nie, nie poczytuję tego Żydom za wadę; uważam bowiem tę ich cechę za całkowicie umotywowaną i usprawiedliwioną. Zresztą jestem zdania, że w tym pociągu Żydów do pieniędzy jest wiele przesady i niesłuszności. Bywałam w Ameryce. Widziałam tam nie-żydów dla których bodaj jedynym celem życiowym było „robienie” pieniędzy.

Zarzuca się Żydom brak poczucia higieny. To jest fałsz. Widziałam w Polsce wielkie ośrodków i domów urągających wszelkim zasadom zdrowotności i higieny. Ale nie wszędzie tam mieszkali Żydzi... Należy być obiektywnym w sądzie. Żydzi są tak często wrogami czystości, wrogami kultury, wrogami sprawiedliwości, jak często zmusza się ich do tego.

— Wspomniała pani na początku o jej rozmowie prowadzonej swego czasu z marszałkiem Piłsudskim na temat Żydów i antysemityzmu. Czy zechciałaby pani pozwo-

lić mi opublikować pewne szczegóły rozmowy?

— Bardzo nawet o to pana proszę. Być może pewne sfery zainteresowane w zagadnieniu antysemityzmu przypomną sobie słowa Oswobodziciela Polski. Jak już panu przed tym powiedziałam, byłam w Polsce 10 lat temu. Poznałam wiele kierowniczych osobistości świata politycznego i kilku wybitnych pisarzy. Zwiedziłam także ośrodki znajdujące się na wschodnich rubieżach Polski. Miałam odwiedzić pewnego pisarza, wybitnie utalentowanego, Żyda. Państwo, u których zatrzymałam się w Warszawie, odradzili mi tej wizyty, tłumacząc mi, że wyrzuci to złe wrażenie na Marszałku, który mnie do siebie zaprosił na pogawędkę. Odrarłam obawy meji skądinąd znacznej gospodyni i udałam się do wspomnianego pisarza. Rozmowa z nim tak mnie zaobsorbowała, że spóźniłam się do Marszałka Piłsudskiego do Belwederu o całą godzinę.

Marszałek przyjął mnie niezwykle uprzejmie i wybaczył mi opóźnienie. Gdy opowiedziałam mu o przestrozach moich gospodarzy, odpowiedział ze śmiechem: szkoda, że obywatelka tak mylnie panią poinformowała. Mój stosunek do Żydów jest bardzo życzliwy. To są zdolni ludzie. Wielu mam Żydów przyjaciół i bliskich współpracowników. Lubie ich i ufam im.

Niestety, w tej chwili nie mogę panu służyć innymi szczegółami, a to dlatego, że w podobnych wypadkach należy być precyzyjnym i odpowiadać za każde słowo. Przyobiecuję panu przy innej sposobności dostarczyć dalszych szczegółów, dotyczących mej rozmowy z Marszałkiem Piłsudskim na temat jego stosunku do Żydów. Jeszcze to sobie przypominam, że według Marszałka głównym powodem nieumiarowania się w Polsce stosunku do Żydów, właściwego dla demokratycznych mocarstw europejskich, były szkodliwe pozostałości z czasów zaborów oraz co Marszałek dwukrotnie i z naciskiem powtórzył — nie wysoki jeszcze poziom gospodarczy w kraju. Stan ekonomiczny — powiedział Marszałek — rodzi różnorakie zjawiska społeczne i polityczne, w zależności od tego, czy jest on pomyślny, czy nie.

Przyznam z satysfakcją, że z owej rozmowy z Marszałkiem Piłsudskim, którą prowadziłam w niewielkim gabinecie Belwederu przez półtorej godziny, odniosłam jak najlepsze wrażenie, a jeśli chodzi o Jego stosunek do Żydów i antysemityzmu to wydaje mi się, że nie pomylił się twierdząc, że Marszałek bardzo cenil Żydów uważając ich za naród wyjątkowo zdolny, przedsiębiorczy i gotów do poświęceń. Zechce pan może włączyć ten fragment do swego wywiadu; niechaj skłoni on pewne sfery polskie, które uwielbiały i uwielbiają Wielkiego Marszałka, do rewizji obecnego stosunku do Żydów i do zaniechania tych akcji, które nie godne są uczniów i kontynuatorów Oswobodziciela i Budowniczo Niepodległej Polski.

Rozmowę przeprowadził
JERZY HALAMSKI

Okno na świat

Kiedy znów wojna?

WILKI, PASTUCH I OWCE.

Od szeregu lat żyjemy w atmosferze przygotowań wojennych. Kilkakrotnie zapewniano że strony najbardziej miarodajnej, że wybuch wojny musi nastąpić w najbliższym roku. Przyzwyczajaliśmy się do tej myśli i przestaliśmy wierzyć w bliskość nowej rzezi. Powtarza się znana historia z pastuchem, który lekkomyślnie alarmował chłopów, strasząc ich, że wilki napadły owce. A gdy wilki nadeszły, pastuch został bez pomocy...

Wilki pożerają owce hiszpańskie, wilki rzuciły się na skórę chińskich owiec. Pastuch, Liga Narodów, zmęczony snadczym czuwaniem nad trzodą narodów śpi snem sprawiedliwego. Usłużni dyplomaci starają się o to, by tego błogosłasnemu snu nie przerwać. Portugalia zrywa stosunki dyplomatyczne z Czechosłowacją — świat przyjął tę wiadomość z szyszyderczym uśmiechem. Japońskie samoloty — bombowce zamieniły w rumowiska i perzynę dzielnic Szanghaju — świat ziewa znużony. Emocja wyładowała się przy zbombardowaniu Guerniki i Malagi — ten „kawał” przestał działać na nerwy ludzkie. W Chinach wybito w pień setki żołnierzy — cóż to znaczy w rok po przykładowej rzezi nierytualnej Hiszpanii?

Łodzie podwodne bombardują statki angielskie — Londyn spokojnie zapowiada, że oddać będzie ostrzelaną wszelką łódź, która zbliży się do okrętów angielskich w zamiarach napastniczych. Wielce „tajemnicze” samoloty bombardują nad morzem Śródziemnym okręty — państwa zainteresowane nie protestują więcej.

A tymczasem wilki korzystają ze snu świata i pożerają swe owieczki. Daily Herald, organ angielskiej Labour Party tak oto ocenia sytuację w Chinach: (18 sierpnia 1937 r.):

„Japonia wkroczyła w głąb Chin, bo początkowo napaść na Pekin udało się znakomicie. Łatwość, z jaką stara stolica została zdobytą przekonała sztab główny Japonii, że Chiny nie są zdolne stawić poważnego oporu, i że nie zachodzi tu niebezpieczeństwo zawikłania się w długą i kosztowną kampanię. Również bierność pozostałego świata przekonała Japonię, że w chwili obecnej posiada wolne ręce w Chinach: że ma prawo uczynić co jej się podoba, bez niebezpieczeństwa spowodowania interwencji zagranicznej.

Nie jest do pomyślenia akcja Genewy w odpowiedzi na apel Chin. Chiny mogą liczyć na akcję ze strony jednego z trzech mocarstw: Anglii, Stanów Zjednoczonych oraz Sowietów”.

Ale ani Anglia, ani Rosja, ani Stany Zjednoczone nie pomagają Chinom...”

Tak melancholijnie kończy swą ocenę sytuacji w Chinach W. N. Ewer, korespondent czołowego organu Labour Party. Jednakowoż, mimo pozorów, sprawy na arenie polityki międzynarodowej nie są tak proste, jak w owej słynnej bajce.

Gdzie więc jest prawda, a gdzie tylko nastroje dziennikarskie?

Prawdą jest, że ani Anglia, ani Francja, ani Stany Zjednoczone, tym mniej jeszcze Sowiety nie chcą w danej chwili wciągnąć się w zawieruchę wojenną. Jeśli chodzi o Anglię — to swą troskę o „lokalizowanie” konfliktów posuwa do przemilczenia i lekceważenia, postępowania prób likwidacji już istniejących ognisk wojennych.

Tak więc pominięła Anglia milczeniem plan Walencji, dotyczący zlikwidowania wojny w Hiszpanii: a plan ten jest bardzo ciekawy. Walencja proponowała, by natychmiast ogłosić rozejm wojenny. Natychmiast po rozejmie obie strony wysyłały pod kontrolą międzynarodową z granic Hiszpanii obce jednostki wojskowe. Po oczyszczeniu terytorium kraju z obcych uczestników wojny naród hiszpański powinien wypowiedzieć się systemem demokratycznym, przy arbitrażu wielkich mocarstw w sprawie ustroju przyszłego kraju...

Eden zbliżył plan Walencji milczeniem. Anglia w trosce o swą nieinterwencję nie chce podjąć się urzeczywistnienia planu, który kres położy wojnie domowej na półwyspie pirenejskim...

A jednak — i tu dochodzimy do sedna rzeczy — w taktyce Anglików tkwi pewna metoda, plan, obliczony na dłuższą metę.

W POGONI ZA UTRACONYM CZASEM.

Taktyka Anglii jest odpowiednią na podstawowe wysiłki państw totalnych. Zarówno Japonia, jak Włochy, jako też Niemcy holdują zasadzie: iż stracenie czasu i odpowiedniej okazji równa się przegranej wojnie.

W ocenie wypadków chińskich podkreślaliśmy, iż Japonia obawia się, że za rok-dwa Chiny wzmożną się do tego stopnia, że najazd na ten kraj stanie się zupełnie niemożliwy. Przypuszczamy, że japońscy wojskowi, którzy wysłali specjalnych obserwatorów na półwysp pirenejski wysnuli należyte wnioski z hiszpańskiego doświadczenia.

Jak wiadomo, generałowie hiszpańscy, zmuszeni byli do przedwczesnego działa-

nia w obawie — by nie było za późno. Sprawa zaskoczenia przeciwnika odgrywa tu wielką rolę: za rok-dwa Stany Zjednoczone mogą już wykonać swój plan zbrojeń morskich, za rok-dwa Sowiety mogą być zdolne do wielkiej ofensywy, za rok-dwa naród chiński mógł stworzyć potężną armię.

Stąd pośpiech strategów japońskich. Ofensywa japońska okazała się już nieco spóźniona, tak samo zresztą jak bunt oficerów hiszpańskich. Projapońscy generałowie hiszpańscy tracą grunt pod nogami. W skład rady głównej prowincji Tschar + Hopei wchodzili notoryczni przyjaciele Japonii, spowinowaceni z Japończykami bardziej trwałymi więzami, aniżeli węzeł krwi, bo węzłami wspólnych interesów i towarzysztw przemysłowych.

Ofensywa więc japońska jest w gruncie rzeczy pogonią za utraconym czasem.

Czy zdąży wojska japońskie zdobyć kraj, zanim nadejdzie armia z południa? Czy zdąży wykorzystać zdrady poszczególnych generałów chińskich, zanim ci nie przestaną być generałami? Czy zdąży wykorzystać pewne wahania sfer Kuomintangu, z nim kongres wrześniowy nie ogłosi świętej wojny przeciw Japonii? Czy zdąży wreszcie rozbić siły wojskowe Chin, z nim Sowiety nie zorganizują odpowiedniej pomocy?

Oto główna troska Japonii, w pogoni za utraconym już czasem. A że chwila ofensywy wybrana już była nieco za późno, o tym świadczą chociażby te lokalne sukcesy, jakie armia chińska w wojnie odniosła.

To samo zagadnienie staje również przed Włochami. Oto sens rozgrywki Mussoliniego z Londynem.

ROZWÓD PRZED ŚLUBEM.

W chwili najbardziej czulej wymiany zdań między Londynem a Rzymem — wygłaszając przez nasze okienko na świat — twierdziliśmy, że na tym skrawku horyzontu możemy przewidywać tylko — mówiąc stylem PIMU — chwilową pogodę, przy dalszym zachmurzeniu i wiatrach północnych, to jest zimnych.

Jakże miło jest stwierdzić, że nasze przewidywania okazały się w przeciwieństwie do zwykłych przewidywań PIMU znacznie trafniejsze. Miło to stwierdzić szczególnie dlatego, iż zbliżenie angielsko-włoskie mogło sprawy pokoju tylko pogmatwać i znacznie pogorszyć.

Radiostacje włoskie nie przerwały audycji arabskich skierowanych przeciw Anglii — faszysty włoscy pozostali nadal gorącymi zwolennikami ruchów narodowych Arabów o tyle, o ile ruchy te były skierowane przeciw... Anglii.

Ostatnie przemówienie Duce, gdzie była mowa o spotkaniu z Anglią jak również i o tym, że drogi do Rzymu prowadzą via Berlin, nie mogą rzecz jasną, odbić się przyjemnym echem w uszach angielskich mężów stanu.

W numerze 33 czasopisma niemieckiego „Schaubühne” Herbert Rhön w artykule „Listy i okręty wojenne”, odsłania istotę sporów i umizgów angielsko-włoskich.

Rhön pisze:

„Nowe imperium włoskie jest od pierwszej

chwili swego powstania skierowane przeciw Anglii, a wyprawa abisyńska była tylko startem Abisynia nie jest bazą surowcową, a przede wszystkim bazą wypadową wojskową. Wielkie zbrojenia włoskie rozpoczęły się dopiero po marszu na Addis-Abebę. Pierwszy układ pokojowy angielsko-włoski nie przyniósł prawie żadnych zmian. Drugiego stycznia bieżącego roku zawarto Gentleman-agreement a wnet po nim rozpoczęła się masowa interwencja włoska w Hiszpanii...”

Cóż może w tej sytuacji zmienić wymianę listów między człowiekiem City Chamberlainem a Mussolinim? Rhön wykazuje, że zbrojenia morskie Włoch są z gruntu anty angielskie. Włochy oświadczyły, że nie pożąłują żadnych wydatków by wzmocnić swą flotę wojenną. Niemieckie i włoskie zbrojenia morskie są tak ze sobą uzgodnione, iż mają naraz sparaliżować flotę Francji i Anglii.

„Wytwarza się paradoksalna sytuacja: mocarstwa faszystowskie mimo swego słabego względnie tonażu będą w roku 1938 posiadały przewagę okrętów nowej konstrukcji” okrętów bojowych i to tym bardziej, że w tym roku Niemcy wykończą swój olbrzym wojenny na morzu. Zaś Włochy, mając dwa nowe olbrzymy na morzu Śródziemnym zyskają poczucie mocy, jakiej dotąd nie miały. Świadomość tego, iż posiadają najbardziej nowoczesne siły wojenne na morzu może zrodzić we Włoszech rodzaj Dreadnought psychozy, podobnej do tej, jaką posiadały Niemcy w latach 1912—1914, gdy przeważały nad Anglią pod względem okrętów wojennych.

Kierownictwo floty włoskiej czyni więc niezwykle wysiłki, by w roku 1938 przewyższyć inne mocarstwa również pod względem innych

rodzajów okrętów wojennych. Włochy budują torpedowce, pragną również posiadać do tej pory największą liczbę łodzi podwodnych w stosunku do innych państw świata.

Oto dlaczego Włochy oceniają rok 1938 jako swój rok decydujący. Albowiem na dłuższy okres czasu nie mogą Włosi wytrzymać konkurencji: plan czteroletni rozbudowy floty angielskiej jest tak potężny, że prześciga znacznie całość floty włoskiej. Najprawdopodobniej w roku 1939 szlata przechyli się na niekorzyść Włoch, a wtedy waga włoskich okrętów wojennych będzie w szybkim tempie spadać.

Farinacci napewno nie wypowiedział swoich własnych przypuszczeń, gdy przed kilku tygodniami oświadczył: Nie czekajmy zbyt długo, uderzymy odrazu, zanim jeszcze plany angielskie są ukończone.

Rhön podaje również szereg ciekawych danych, dotyczących floty powietrznej Włoch, by w końcu dojść do następującego wniosku:

Również plan wojenny Anglii jest skierowany przeciw Włochom, aczkolwiek zajmuje ona tymczasem pozycje obronne, tym niemniej plan jest pomyślny ofensywnie. Tylko budownictwo floty wojennej zmieni siły Anglii nie w stosunku do Japonii, ale w stosunku do Włoch. Nie na oceanie Spokojnym, tylko na morzu Śródziemnym zakończy Anglia koszmar, który od 1935 roku ciąży nad admiralacją angielską.

Pertinax pisał niedawno, że admiralicia należy do samodzielnych czynników w polityce angielskiej, oraz że jej kierownicy są znacznie bardziej realni, aniżeli ludzie z City. Jest rzeczą wykluczoną, by doszło do kompromisu w sprawie zbrojeń, zaś porozumieć się z uzbrojoną Anglią nie przedstawia dla Mussoliniego żadnej wartości.

Przytoczyliśmy ten realny głos niemieckiego dziennikarza, który spogląda prosto w oczy prawdziwe stosunków angielsko-włoskich. Próby nowego premiera angielskiego natrafiają rzeczywistość na wielkie przeszkody. Nie tylko Lord Admirality raportuje na zebraniach rady ministrów o wysiłgu zbrojeń morskich, ale również i minister kolonii zapewne niepokoi rozmówianego w romańskich przygodach premiera wieściami o działalności włoskiej na zapleczu angielskich posiadłości...

PSYCHOLOGIA BANKRUTÓW.

Leży już na dnie natury ludzkiej, że człowiek pragnie ułatwić sobie życie złudną nadzieją o słabości i niepowodzeniach swego wroga. Szczególnie demokraci mają słabość do podobnych złudzeń: wyolbrzymia się każde niepowodzenie wodzów faszystowskich, maluje się w najczarniejszych barwach trudności gospodarcze, polityczne — by w końcu dojść do wniosku, że to przecież samo pewnego dnia runie, zawałi się a na rumowiskach powstanie nowy, radosny i piękny świat.

Pamiętamy wszyscy, jak po dojściu narodowo-socjalistów do władzy przepowiedano ich krach po upływie conajwyżej roku. Pamiętamy jak podczas wyprawy abisyńskiej stawiano na trudności gospodarcze reżymu, który ponoć ma się udławić kością abisyńską. Zarłoczną paszczą nie udławiła się... I tak dalej: Pragniemy wciąż pocieszać się w braku własnej siły, słabością swego wroga.

Wyolbrzymiamy każdą szczelinę do rozmiarów przepaści w której zapadnie się nieprzyjaciół, dla własnych błędów i własnej bezsilności...

Nie należy przeceniać trudności wroga, nie należy przeceniać jego głupoty. Bez wątpienia państwa tak zwane elitarnie ustępują znacznie państwom demokratycznym w walce na dłuższy dystans. Zarówno Japonia, jak Włochy, jako też Niemcy obawiają się długiej kampanii, przeciągłej wojny. Wyczerpuje się tu znacznie wcześniejsze cierpliwość mas, sztucznie nastroszony entuzjazm. To też ostateczna wygrana może przypaść w udziale państwom demokratycznym z chwilą, gdy wyczerpią się zasoby nakręconej koniunktury totalistów.

Stąd także zrozumieć politykę wielkich demokracji: grają one na zwłokę. Zbytnią grą na zwłokę jednak stwarza wielkie niebezpieczeństwo rozbrojenia siebie wobec przeciwnika. A wtedy przeciwnik bankrutując — gotów jest popęlić niejedną czyn nieobliczalną.

Bankrut jest człowiekiem niebezpiecznym. Bardziej jeszcze niebezpieczny jest bankrutujący system: prócz wzywień rozkładowych, ludzie nim kierujący zdolni są zdobyć się na wszelki nieobliczalny krok nie mając nic do stracenia.

To też nie należy zapominać o niebezpieczeństwach, jakie czatują na pokój świata w nadchodzącym roku: opór jaki reakcja napotyka teraz na świecie będzie wzrastać, wzmacniać się w nadchodzącym roku. Zbrojenia osiągną w państwach totalnych swój kulminacyjny punkt. Być może rezerwy na dalsze zbrojenia wyczerpią się zupełnie...

A wtedy systemy widząc swój zbliżający się koniec mogą zatrzasnąć drzwiami za sobą: jak wiadomo z takich trzasków powstaje wojna światowa.

Dr. A. W.

OUTSIDER

Chiny budzą się*)

Działania wojenne, które obecnie toczą się pod Szanghajem pomiędzy zreorganizowaną armią chińską a Japonią skierowały uwagę całego świata na zagadnienie Dalekiego Wschodu.

Należy jednakże dodać, że na terenie obecnie tak aktualnym pod względem międzynarodowym, walki wojenne i nieporozumienia trwają od setek lat. Stanowią one zarazem klasyczny przykład, jak trudne jest bytowanie dla narodu, który nie idzie z postępem czasu i pragnąłby się oddzielić od reszty świata.

400 milionowy naród chiński, pomimo swej liczebności kilkutyśnietysięc interesującej historii, na tle której powstała wspaniała i oryginalna kultura, musiał wielokrotnie ulegać znacznie słabszym, kraj zaś stawał się często terenem parcelacji dla wszystkich: zarówno dla najbliższych sąsiadów: Japonii i Rosji, jak i dla dalekich państw europejskich*).

Stosunkowo najczulziej dotyczyły się do Chińczyków Stany Zjednoczone, które w okresie konferencji rozbrojeniowej, zebranej w Waszyngtonie na przełomie roku 1921 — 22 dawały temu wyraz. Konferencja Waszyngtońska rozpatrywała wszechstronnie skomplikowane i sporne zagadnienia Dalekiego Wschodu. Pomiedzy mocarstwami traktatowymi nastąpił układ, na mocy którego Chinom zwrócono terytorium w Zatoce Kiao-Czau (dawniej w posiadaniu Niemców) oraz dano możność wykupu kolei na Półwyspie Szan-Tungu. Miały być również zniszczone zagraniczne urzędy pocztowe w Chinach, którym przyznano prawo powoływania komisji do zbadania taryf celnych i sprawy w zakresie eksterytorialności.

Na przyszłość Chiny miały poniechać oddawania jakiegokolwiek swego terytorium w dzierżawę temu lub innemu mocarstwu, natomiast zasada „otwartych drzwi” została utrzymana w mocy. W ten sposób Chiny dostały to, czego nie zdołały osiągnąć w Wersalu. Na tak znamiennej uchwale konferencji poważnie już wpłynęły uchwały i protesty inteligencji i studentów budzących się Chin.

PRZYCZYNY ZACOFANIA — TRUDNOŚCI CHIN.

Niestety jednak, proces odradzania się Chin postępował bardzo powoli. Przyczyniły się do tego stale walki konkurujących ze sobą generałów i przywódców politycznych, którzy wszczęli i utrudniali wprowadzenie w życie doskonale opracowanych zasad reformatorskich Prezydenta D-ra Sun-Jat-Sena i wielu innych.

Sytuację komplikował analfabetyzm ponad 250 milionów ludności, wieloletnia zubożność różnych prowincji, których ludność bardzo często nie mogła się porozumieć, brak najskromniejszych dróg komunikacyjnych i niski stopień kultury rolnej i przemysłowej.

Aż do wybuchu rewolucji chińskiej w

r. 1911 przeciwko dynastii Mandżurskiej Tshin, panującej od 1644 r., ludność chłopska znajdowała się w ciężkich warunkach. Podróżnik, który oddalił się od wybrzeża i portów traktatowych, gdzie stały zakotwiczone okręty zagraniczne, odrazu mógł stwierdzić, że cofnął się o kilka wieków wstecz i wkroczył w progi innej cywilizacji. Masy chińskie zabiegały o te same sprawy codzienne i w ten sam sposób, jak to czynili pradziadkowie, a ludzie zamożni i oświeceni żyli na dawna modłę z pokolenia w pokolenie przez setki lat.

W cichych ustronniach na całym terytorium chińskim stały domy bogaczy i uczonych, pełne porcelany, brązów i innych dzieł sztuki, stworzonych przez artystów z epoki T'angów i narodowej dynastii Mingów. Warto też dodać, że w okresie dynastii Tang, w którym wpływy Chin przenikają daleko na Zachód, szereg wynalazków, jak papier, druk, kompas i proch strzelniczy przedostają się do Europy, a sztuka osiągnęła swój najwyższy rozwój.

Wzrosty zamożności studiowały naukę Konfucjusza, który nawoływał do zrozumienia natury głębi własnego ducha, by przystosować się do niej, nie zaś by miał ją zwyciężać.

KŁĘSKI MILITARNE BUDZĄ PATRIOTYZM CHIN.

Do obudzenia Chińczyków z dotychczasowego uśpienia przyczynił się szereg klęsk militarnych w drugiej połowie XIX stulecia oraz w XX, utrata szeregu wielkich prowincji oraz zwycięstwo żółtego narodu — Japonii nad białymi — Rosją w 1905 r.

Wszystkie te fakty otwierają oczy wielu Chińczykom na ich słabość militarną i bankructwo dotychczasowego ustroju państwowego. Nowe warstwy oświecone każą pójść za przykładem Japonii, która wykorzystwała najlepsze wzory z Zachodu i szła od zwycięstwa do zwycięstwa.

Obok nowych szkół wywierają olbrzymi wpływ studenci chińscy, powracający już z Europy, Stanów Zjednoczonych i Japonii. Przynoszą oni ze sobą nowe pojęcia i myśli, zaczerpnięte z filozofii, nauki historii, literatury, prawodawstwa i obyczajów na Zachodzie. Jednocześnie stały swój wpływ wywierają nowe idee dla Chin, idące z zagranicznych centrów handlowych i misji religijnych, rozproszonych już teraz po całym państwie.

Jeden z najzdolniejszych chińskich mężów stanu i przywódcy Kuo-Min-Tangu (partii ludowej) — Dr Sun-Jat-Sen zostaje w 1912 r. prezydentem republiki chińskiej ze stolicą w Nankinie. Wkrótce potem dotychczas panująca dynastia Mandżurów (ze stolicą w Pekinie) zmuszona jest do abdykacji.

WALKA PÓŁNOCNYCH CHIN Z POŁUDNIEM.

W tymże okresie dalej trwa walka pomiędzy zacofaną Północą, gdzie rządzi dyktator Juan-Sze-Kaj, a postępowym Południem. Trudno osiągnąć wzajemne

*) Dzieje 400.000.000 narodu. M. A. Nourse. Bibl. Wiedzy Trzaski, Everta i Michalskiego. Warszawa 1937.

J. Bleiberg

Narodziny nowego humanizmu

(z powodu ostatniego wystąpienia Tomasza Manna)

W ostatnich dniach pisma przyniosły wiadomość o odczycie Tomasza Manna, wygłoszonym w ramach obrad Instytutu Współpracy Intelktualnej w Budapeszcie. Tematem referatu wielkiego pisarza było zagadnienie humanizmu, rozumianego nie w znaczeniu historyczno-tradycyjnym, jako nawrót do ideałów kultury i literatury klasycznej, lecz ogólnym, światopoglądowym, jako postawa człowieka współczesnego wobec aktualnych zagadnień dzisiejszej rzeczywistości. Wystąpienie twórcy „Czarodziejskiej góry”, które poznamy niebawem w autentycznej drukowanej wersji, nie jest bynajmniej głosem odosobnionym, lecz epizodem żywym już dziś ruchu, zdobywającego sobie coraz więcej zwolenników w różnych obozach ideowych. Jesteśmy świadkami powstania nowej ideologii humanistycznej, będącej obronną reakcją przeciwko pewnym rozwojowym tendencjom naszego stulecia.

Nim przystąpimy do omówienia humanizmu współczesnego, chcielibyśmy zwrócić uwagę na ogólny historyczny aspekt naszego zagadnienia, na to mianowicie, że *humanizm, jako pogląd na świat i koncepcja życia jest w dziejach kultury zjawiskiem stałym, występującym periodycznie w różnych krajach i epokach i przybierającym różne formy zależnie od warunków, które spowodowały jego powstanie*. Humanizm nie jest bynajmniej, jak uczono nas tego w szkole, „wynalazkiem czasów nowożytnych”, jego historia sięga daleko wstecz przed naszą erą. Nie Dante, Petrarca i Boccaccio byli pierwszymi europejskimi humanistami, miano to należy się raczej *greckim sofistom*, których działalność przypada na piąte stulecie przed n. Ch. Grecy sofisci byli wyznawcami stanowiska antropocentrycznego, stawiającego człowieka (po grecku — *anthropos*) w ośrodku ludzkich dążeń i zainteresowań i ujmującego świat z punktu widzenia jego doczesnych celów i potrzeb. Cel życia ludzkiego upatrywali w tworzeniu materialnych i duchowych dóbr, dźwigających człowieka na wyższy poziom świeckiej kultury i cywilizacyjnego postępu. Podkreślając *socjologiczne uwarunkowanie* ludzkiej wiedzy, będącej wytworem życia społecznego, przeciwstawiali się wszelkiemu dogmatyzmowi, nie absolutyzowali żadnej idei, ani stanowiska, głosili hasła *krytycyzmu, indywidualizmu, wolności i autonomii ludzkiego rozumu*. Te zasadnicze punkty programu filozoficznego sofistów są *integralnym* składnikiem każdej humanistycznej ideologii, bez nich nie ma humanizmu w ogólnym, światopoglądowym znaczeniu wyrazu. Historycznymi kontynuatorami sofistów byli humaniści renesansowi, dzięki którym zapomniane prawie w ciągu tysiąclecia hasła ich greckich poprzedników stały się znów doniosłym rozwojowym czynnikiem europejskiej kultury. Tak ściśle dziś z nią związana zasada wolności osobistej wywodzi się w prostej linii od sofistów, uchodzących niesłusznie w opinii ogółu za oszustów, karierowiczów i blagierów, gotowych, dla osiągnięcia doraźnej osobistej korzyści, do podjęcia obrony niesłusznej nawet sprawy, przy pomocy logicznych kruczków i dialektycznych wykrętów. Ujemna ta ocena dotyczy tylko sofistów późniejszych, dekadentów ruchu, nie narusza ona jednak w niczym wielkiej zasługi wcześniejszych sofistów, którzy byli pierwszymi humanistami, socjologami i pozytywistami.

W przeciwieństwie do humanizmu greckiego, który wyrósł na podłożu *filozoficznym*, humanizm renesansowy opiera się na bazie *historycznej*, w swym dążeniu do wyzwolenia człowieka z więzów autorytetu i dogmatu, odwołuje się do przeszłości, do humanistycznych tradycji świata klasycznego. W ścisłym związku z humanizmem renesansowym pozostaje t. zw. *trzeci humanizm*, powstały w Niemczech na przełomie 18—19 stulecia, mający jednak zabarwienie raczej historyczno-filozoficzne niż światopoglądowe. Oryginalną natomiast koncepcję humanizmu tworzą, na początku naszego stulecia, amerykańscy filozofowie James, Schiller, Peirce i Dewey, zwani pragmatystami. W swym zasadniczym poglądzie, w myśl którego *prawdziwe jest to, co dla człowieka pożytecz-*

ne, nawiązują oni do praktycyzmu sofistów i, wychodząc z założeń *biologicznych*, uważają wszelką wiedzę i myślenie *za narzędzie walki o byt*. Prawda jest dla nich, jak to trafnie określił Bergson, *nie odkryciem, lecz wynalazkiem*, instrumentem usprawniającym ludzkie działanie. Ich celem jest zdynamizowanie człowieka, osiągnięcie dla niego maksimum korzyści, szczęścia i pożytku, co jest niewątpliwie przejawem trzeźwej i praktycznej amerykańskiej mentalności. Pozwoliłszy sobie w artykule dziennikarskim na uwagi natury ogólnohistorycznej, aby uzasadnić wrażliwym dycznym charakterze humanizmu, iako prądzie duchowej kultury. Sądźmy poza tym, że omówienie humanizmu współczesnego w dziejowej perspektywie przyczynić się może do pogłębienia jego ujęcia, jako historycznego fenomenu, do lepszego zrozumienia jego historycznej swoistości.

Genezy współczesnego humanizmu doszukiwać się należy w dwóch znamienitych objawach naszej epoki: w *niewielu oddziaływaniu postępu technicznego na duchowość ludzką, w totalizmie modnych dziś doktryn politycznych i społecznych, unicestwiających osobowość człowieka w imię wyższego ideału dobra zbiorowego, lub miu powszechnej, ludzkiej szczęśliwości*. Humanisci dzisiejsi wskazują na to, że mechanizacja życia przez technikę przesłania znaczenie duchowych, humanistycznych walorów kultury, automatyzuje ludzką psychikę, zaszczepia jej jednostronny kult technicznego rekordu, podsyca wrodzony człowiekowi egoizm, obniżając przez to stopień jego moralnej odporności. W przeciwieństwie do humanistów renesansowych, którzy walczyli o równouprawnienie ciała z duchem, *humanisci współcześni domagają się równouprawnienia ducha z ciałem, równych praw dla poety i lotnika, uczonego i boksera*. Marzą o tym (pierwotny grzech wszystkich humanistów), aby nauka i sztuka odgrywały w życiu mas taką rolę, jaka przypadła w udziale sportowi i technice. Walka z przerostem techniki i tyranią maszynizmu wypływa u nich z myśli o przyszłości naszej kultury. *Stwierdzając, iż postęp techniczny idzie w parze z zanikiem etycznych podstaw ludzkiego współżycia, dają wyraz uzasadnionej obawie, aby to, co zostało przez człowieka stworzone dla jego dobra i pożytku, nie obróciło się przeciwko niemu, jako narzędzie mordu i zniszczenia*. Zwalczają oni też wszelką nacjonalistyczną i socjalną mitologię i mistykę, uszczęśliwiającą człowieka według z góry przyjętej recepty kosztem jego człowieczeństwa, którego obrona jest od wieków sztandarowym hasłem humanizmu.

Istotnym znamieniem współczesnego humanizmu, obok charakterystycznej dlań *silnej tendencji etycznej*, jest to, że nie jest on związany z żadną konkretną ideologią filozoficzną lub polityczno-społeczną. Jego zwolennicy tworzą legalną opozycję w łonie różnych środowisk ideowych, gdzie przeciwstawiają się wszelkiemu doktrynerstwu i fanatyzmowi, troszcząc się o to, aby idea nie pochłonęła człowieka, boć przecież nie on dla idei, lecz idea dla niego została stworzona, nie wolno jej przeto uczynić narzędziem ucisku, psychicznego terroru i moralnej presji. Dalecy od wszelkiego zacietrzewienia i roznamiętniającej demagogii, odnoszą się z szacunkiem do cudzych poglądów, a największą radość sprawia im odnajdywanie wspólnych ogniw w różnych, biegunowo sobie przeciwnych stanowiskach. Są bowiem z natury i usposobienia pojednawcami-koncyliatorami, wyjaśniają sprzeczności, łagodzą przeciwieństwa, tworzą syntezę. Ich humanistyczna pasja ogarnięcia „wszystkiego, co ludzkie”, prowadzi w nieuchronnej konsekwencji do pewnego uni-

wersalizmu w sprawach etyki i kultury. Istotnie jest też każdy humanista, niezależnie od ideologii, którą poza tym wyznaje, w mniejszym lub większym stopniu *człowiekiem powszechnym* — homo universale, jak to mówiono w epoce Renesansu. Powstanie „humanistycznej opozycji” w obrębie różnych doktryn religijnych i społecznych jest reakcją przeciwko dominującą dziś prądom *kulturalnej łączności*, zacieśniającą uniwersalny w swej istocie problem kultury do jednego tylko odcinka kulturotwórczej działalności człowieka.

Tendencje humanistyczne występują dziś na obu ideologicznych biegunach współczesnej umysłowości: w *obozie katolickim i socjalistycznym*. W pierwszym najwybitniejszym szermierzem humanizmu jest znakomity współczesny filozof katolicki Jeques Maritain, przeciwnik faszyzmu i totalizmu, twórcą t. zw. humanizmu integralnego, opartego na założeniach prawowiernego katolicyzmu, posiadającego, jego zdaniem, pewne stykne punkty z ideologią socjalistyczną. W tym poglądzie przejawia się właśnie humanistyczna postawa Maritain'a. Godne uwagi są też silne humanistyczne akcenty ostatnich dwóch encyklik papieskich, wymierzonych przeciwko komunizmowi i hitleryzmowi. Czytamy w nich m. in.: *Społeczeństwo jest stworzone dla człowieka, a nie człowiek dla społeczeństwa*. Tylko człowiek, tylko osobowość ludzka, a nie zbiorowość sama w sobie, jest obdarzona rozumem i wolą moralnie wolną. Kto rasę, albo naród, albo państwo, albo formę państwa, dzierżycieli władzy państwowej, albo inne zasadnicze wartości ludzkiego ustroju społecznego — którym się w granicach ziemskiego porządku należy miejsce poczesne i godności — stawia poza ziemską skalą wartości i czyni najwyższą normą wszystkich, także i religijnych wartości, kto je w bałwochwalczym kulcie ubóstwia, ten przekręca i fałszuje stworzony przez Boga i przez Boga nakazany porządek rzeczy. (Ob. Wiadom. Liter. Nr. 19 r. 1937).

W obozie socjalistycznym najwybitniejszym rzecznikiem humanizmu jest belgijski socjalista L. Moulins. Jego ideałem jest taka forma socjalizmu, która by zapewniła człowiekowi możliwości pełnej i swobodnej realizacji wszystkich jego duchowych, twórczych założeń, która by zaspokoiła nie tylko jego głód fizyczny, ale i spowodowała osiągnięcie przezeń o własnych siłach, przez intensywną pracę nad sobą, własnego duchowego kształtu, wyżyn czystego człowieczeństwa.

Ciekawym przejawem humanizmu współczesnego jest również nie dawno temu powstałe *pierwsze międzynarodowe towarzystwo filozoficzne p. n. Philosophia*, założone przez wybitnego filozofa niemieckiego świętego znawcę Kanta, byłego redaktora „Kant Studien” i b. profesora w Berlinie, wykładającego obecnie w Belgradzie Dr. Arthura Lieberta. Do T-wa zgłosili już akces przedstawiciele 32 państw z obu półkul, wśród nich i Polska, reprezentowana w Zarządzie przez profesorów: Tadeusza Garbowskiego (Kraków), Władysława Heinricha (tamże), Tadeusza Kotarbińskiego (Warszawa) i Kazimierza Twardowskiego (Lwów). Delegatami Uniwersytetu Jerozolimskiego są: Rektor Hugo Bergmann, prof. Julius Gutman i Leo Roth. Powołując się na historyczną tradycję filozofii, która nie ograniczała swojej działalności do badań czysto teoretycznych, lecz dążyła również do ugruntowania świadomości moralnej w człowieku i do kierowania jego życiem w duchu ogólnoludzkich ideałów, nowe towarzystwo chce przyczynić się do pogłębienia etycznych podstaw naszej cywilizacji przez szerzenie hasła *etycznego humanizmu*, opartego na następującym nakazie Kanta: „Handle so,

Jehuda Warszawiak

Listy Dawida Fryszmana

(w piętnastą rocznicę zgonu)

Przez długi czas nie doceniano należyte w literaturze hebrajskiej wielkiej wartości, jaką mają dla literatury, a zwłaszcza dla jej historii — listy i dokumenty z codziennego życia zasłużonych pisarzy. Od czasu do czasu, ktoś zajmował się zbieraniem mów i listów naszych przywódców (i to w dość szczupłych rozmiarach), lecz jeśli chodzi o pisarzy rzecz pozostała bez zmian.

W tym samym czasie, gdy w literaturze światowej co raz więcej uwagi poświęca się różnym dokumentom, dotyczącym twórców i utworów ich (istnieje specjalny odłam powieściopisarzy, którzy zajmują się prawie wyłącznie opracowywaniem powieści na tle życia prywatnego pisarzy) — rozrzucone po różnych zakątkach świata pozostały listy i wszelkie inne dokumenty życiowe naszych wielkich myślicieli i pisarzy — nie mogąc się doczekać wiernej ręki, która by je zebrała, wyzwoliła z otchłani zapomnienia i ocalała od zguby.

Dopiero w ostatnich latach da się zauważyć pewna zmiana ku lepszemu w piśmiennictwie hebrajskim. Początek został dokonany wydaniem zbiorowym listów *Achad - Haama*. (Wydawnictwo „Dwir”, Tel-Aviv). Dopiero listy wielkiego filozofa i myśliciela otworzyły nam oczy i ujrzeliśmy, jak doniosłe znaczenie ma opublikowanie takich rzekomo „osobistych” listów. Dzięki tym listom wyjaśniliśmy sobie wiele nie jasnych i nie zrozumiałych rzeczy w bogatym i tak cennym dorobku literackim Achad-Haama. Listy te są, pod pewnymi względami, może nie mniej pouczające niż same utwory Achad-Haama. O nie o wiele mniejszej wartości była również publikacja listów wielkiego poety hebrajskiego *Jehudy Lejba Gordona*, pod którego wpływem stawał swe pierwsze kroki największy poeta hebrajski, Chaim Nachman Bialik.

Tom listów Dawida Fryszmana (podjął się tej odpowiedzialnej pracy znany bibliograf hebrajski w Ameryce, A. R. Malacki) — ma bardzo doniosłe znaczenie dla historii literatury hebrajskiej. Postać Fryszmana, o której rozpowszechniono tyle sprzecznych wiadomości, występuje na tle listów bardzo wyraziście. Okazuje się, że „złe języki” rozwinęły bardzo intensywną pracę po śmierci tego najbardziej zasłużonego krytyka i pisarza hebrajskiego. Stąd właśnie płynie fakt, że Fryszman stał się niepopularny. Jego wrogowie — a jak każdy bojowniczo usposobiony i bezkompromisowy człowiek miał ich mnóstwo — starali się wszystkimi siłami i wszelkimi środkami (nie zawsze czystymi) zdegradować rolę Fryszmana w dziejach nowej literatury hebrajskiej. Nie udało im się to przy życiu wielkiego krytyka — tym intensywniej wzięli się do roboty po jego śmierci. Lecz listy Fryszmana są najlepszą jego tarczą obronną, szkoda tylko, że jak

dotychczas ukazał się jedynie pierwszy tom tych listów.

„Styl — to człowiek”. To na ogół przyjęte twierdzenie jest nie raz sprzeczne w stosunku właśnie do ludzi, mających najwięcej do czynienia ze sprawami stylistycznymi, to jest pisarzy. Nawet najbardziej wierny sobie pisarz, daje w swych utworach wyraz nie tylko własnym uczuciom, lecz dość często również za jego pośrednictwem „dochodzą do słowa” uczucia i myśli innych ludzi. Przeto też często mówi o nich własnym, naturalnym stylem. Stąd chyba pochodzą te częste zaprzeczenia w utworach wielu pisarzy, którzy stwierdzają słusność zdania Boerne’go, iż: „Der Mensch ist nich so oder so, nur so und so”. Chcąc poznać człowieka-twórcę, poznajemy jego życie i dokumenty życiowe, przede wszystkim — jego prywatne listy, w których przecież zawsze pozostaje wiernej własnej osobie.

Zbrane listy Dawida Fryszmana odzwierciedlają nam Fryszmana jako człowieka i pisarza. Czytamy te listy i przekonujemy się, iż wszystko co się po dziś dzień rozpowszechnia o Fryszmanie — o cynizmie jego, ostryści, o surowych krytykach zazdrosnego a nie wyżytego poety” i t. p. — to zwykle plotki, kolportowane przez wrogów Fryszmana z charakterystyczną dla nich zawziętością.

Fryszman był w swoich sądach zawsze niezależny i odważny. Oto naprzykład pisze on do Szaloma Alejchema i wyraża w liście nieprzychylnie zdanie o przysyłanych mu do oceny utworach, aczkolwiek znajduje się wówczas w opłakanych warunkach materialnych, które raczej nakazują mu „dobrze żyć” z Szalomelem Alejchemem.

A oto w drugim liście odmawia przyjacielowi swemu i nie pisze recenzji o jego książce, acz książka, sama przez się, zasługuje na to. Lecz autor tej książki w swoim czasie opublikował przychylną recenzję o książce Fryszmana, dlatego właśnie odmawia, żeby nie przyjęto tego jako „miarę za miarę”. W postępowaniu wzajemnym pisarzy jest taka czystość stosunków chyba rzadkim objawem. I chyba nie winić Fryszmana, lecz uczyć się powinniśmy od niego etyki i szczerego postępowania z ludźmi.

Z przedmowy do listów Fryszmana dowiadujemy się, że jego listy wypełniają dziesięć tomów. Zbytecznym, zda się, podkreślić, iż listy Fryszmana mają również wielką wartość kulturalno-historyczną. Odnaczają się one pięknym językiem i formą, obfitują w mądre myśli, trafne spostrzeżenia i błyskotliwe obserwacje, prawdziwie fryszmanowskie. Apelujemy przeto, ażeby wreszcie, opublikowano dalsze tomy listów Fryszmana. P. Malacki nie powinien ustać w swej pracy. Praca ta stanowi bowiem ważki i bardzo cenny dorobek dla najnowszej naszej literatury.

dass du die Menschheit, sowohl in deiner Person eines anderen, jederzeit zugleich als Zweck, niemals bloss als Mittel brauchst”.

Wśród teoretyków humanizmu współczesnego jedno z miejsc naczelnych zajmuje oryginalny myśliciel amerykański *Irving Babbitt*. Według Babbitta człowiek znaleźć może szczęście tylko w sobie, w wewnętrznym spokoju i ładzie, w umiarze i samoopanowaniu, wyzwalających go od tyranii popędów i namiętności. Szkodliwym wpływem techniki i szalonego tempa życia współczesnego, przeciwstawić należy stałą, indywidualną uprawę ducha, dzięki której człowiek nie stanie się niewolnikiem stworzonej przez siebie maszyny. Ważną rolę w humanizmie Babbitta odgrywa moment etyczny, co jest, jak widzieliśmy, szcze-

gólnym znamieniem dzisiejszego humanizmu.

Humanizm współczesny jest jeszcze ruchem względnie młodym i nieskonsoolidowanym. I dlatego trudno w tej chwili przewidzieć w jakim kierunku pójdzie jego dalszy rozwój i czy stanie się on realnym czynnikiem w ukształtowaniu się duchowego oblicza dzisiejszej Europy. W swoim referacie Mann zaznaczył, że *humanizm nie jest już dziś abstrakcyjnym, teoretycznym, zagadnieniem, lecz pilnym nakazem chwili*. Głoszenie jego hasła, praca nad jego rozwojem jest świętym obowiązkiem wszystkich szczerych obrońców i przyjaciół naszej kultury, posłusznych humanistycznemu nakazowi twórcy „Fausta”:

„In Allem lass dich lenken, nur nicht im Fühlen und im Denken”.

WALTER SCHIRMEIER

SCHULTZ UMARŁ NIEODWOŁALNIE...

(Nowela)

Szyby brzęczą sycza. Ulicą przejechało auto ciężarowe. Chory z trudem obraca się w łóżku, w stronę okna. Siedzi tam dziewięcioletnia Hete i przez szybę spogląda w dół na ulicę.

— Auto ciężarowe — mówi mechanicznie i odczytuje napis na tabliczce: A. M. B. / Niederschoeneweide — Johannisthal!

— Więc tak, powiada chory i kaszle sycza.

W pokoju, w którym stoją trzy łóżka panuje wielki zaduch. Chory leży najbliżej okna. Jego twarz jest szara i cierpiąca. Na czole lśnią drobne kropelki potu, zlepięte kosmyki brody zwisają mu z twarzy. Zęby w rozmowie wydają się nienaturalnie wielkie; pochodzi to stąd, że policzki są zupełnie zapadłe. Szczęki więc uwydatniają się bardzo.

Od czasu do czasu kaszle, podpira się na łokciu, oczy jego błyszczą nerwowo. W jego piersiach coś rzezi, jakby w płucach wrzała woda. Wyciąga rękę po sopluczkę stojącą na krześle przy łóżku, która jest do połowy napełniona wodą. Wypłuwa szaro-żółtą plwocinę, na której tu i ówdzie widać czerwone cętki.

Dziewczynka przy oknie w dalszym ciągu komunikuje mu co się na ulicy dzieje.

— Teraz Schisnagel przechodzi przez nasyp — powiada.

— Który? — pyta chory ochryplym głosem — stary czy młody?

— Stary — odpowiada dziewczynka i dodaje — naturalnie jest schlany jak świnia!

Przez chwilę zachowuje się cicho, wreszcie ożywia się.

— Teraz wychodzi do knajpy. —

— Do której? — pyta stereotypowo chory.

— „Pod Oskowiem“ — dodaje dziewczynka — no, to już chyba przed wieczorem nie wróci.

Choremu zamykają się oczy. Otwiera je z trudem i mówi: — możesz odejść od okna, chcę spać.

W tej samej chwili przymyka oczy i śpi. Na jego wystających kościach policzkowych widnieją ceglaste wypieki. Oddech ma krótki, rzeżący. Ręce żółte, wychudłe o sinych długich paznogiach leżą na kółdrze. Na krawędzi sopluczkki przysiadła mucha.

Dziewczynka zeszła z okna i zbliżyła się do komody, z której zdjęła politowaną, drewnianą skrzyneczkę. Jej najmilszym zajęciem jest grzebać w papierach rodzinnych, znajdujących się w pudle. Zastępują one jej książki, obrazy i zabawki. Wyjmuje arkusze i odczytuje je. Pochylona nad wąskim zeszytem szepce cicho przed siebie.

— Paszport wojenny Johanna Szultza. Urodzony 16 grudnia 1884 w Zimmeritz, powiat Ost Sternberg.

Odkłada zeszyt i dalej gmera w pudle. Wpada jej w rękę zwinięty arkusz listowy:

„Podanie o udzielenie zapomogi, zwracamy, ponieważ rozwijająca się obecnie u Pana tuberkuloza nie jest wpływem zatrucia gazami w 1917 roku pod Donamont.“

Dzwonią.

Chory porusza się niespokojnie, pokaszluje cicho i śpi dalej. Dziewczynka zrywa się i biegnie do przedpokoju. Zgrzyt odsuwanej rygla, drzwi odmykają się i zamykają napowrót; po chwili wraca w towarzystwie swej dwunastoletniej przyjaciółki.

Siadają obydwie na niskim podnóżku i razem grzebią w papierach, wśród których znajdują się zaświadczenia, rachunki, pokwitowania, świadectwa urodzin i zgonów. Na dnie skrzynki leży rachunek lekarza.

— Pozwolę sobie zlikwidować 75 R.M. za pomoc udzieloną w pologu...

Wkładają papiery napowrót do skrzynki i odstawiają na swoje miejsce. Hete obejmuje rękoma kolana i pyta swą przyjaciółkę:

— Ela chcesz wyjść zamąż?

— Nie.

— A dzieci chcesz mieć?

Dwunastolatka wskazuje palcem na czoło.

— Tu, człowieku — dzieci?! Mama powiedziała wczoraj do starego, że gdyby znowu była młoda, nie miałaby z pewnością dzieci. Dzieci sprawiają tylko kłopoty i smutnienie...

Przez chwilę milczy, a potem mówi dalej.

— Wczoraj znowu była awantura. Dzisiaj mija pięć lat od śmierci ojca. I matka chciała mu wieniec na grób zanieść, to stary wściekł się natychmiast.

Hete pyta po namyśle:

— Przecież twoja mama nie jest jego żoną?

— Nie.

— Dlaczego więc znosi to wszystko? Bicie, pijaństwo, awantury? Dlaczego go nie wyrzuca?

— Czy ja wiem?

Dzieci rozprawiają z dziwnie bezlitosną rzeczowością o sprawach, które w ich pojęciu wydają się same przez się zrozumiałe. Chory leży niespokojnie z pół otwartymi ustami. Przez nie-domknięte powieki widać białka ocznych gałek. Zlepięte klaki brody sterczą wokoło spiczastego podbródka. W piersiach jego słychać rzeżenie.

Ela mówi dalej.

— Gdy będę duża, zrobię, tak, jak ta blondynka, co u nas mieszka. Ożywia się i przysuwa się bliżej do zasłuchanej Hete.

— Jej dobrze się wiedzie. Słyszałam, jak dzisiaj mówiła z sąsiadką na dziedzińcu. Ma jedwabne koszule i halki i conajmniej — umilkła przez chwilę — i conajmniej dziesięć sukien. Chory obudził się. Podnosi się ciężko.

— Hete!

Odwraca się.

— Co jest?

— Termometr.

— On jest.

Chory bierze termometr i wtyka go w usta pod język. Leży nieruchomo przez kilka chwil, potem wyjmuje go, wodzi wzrokiem za słupkiem rtęci, 40,5. Oddaje termometr dziewczynce, która go wkłada do futerału.

— Przyjdę potem jeszcze raz — mówi Ela, wychodzi z pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi.

Hete stoi przy łóżku.

— Kiedy przyjdzie doktor? — pyta chory.

— Jutro.

— Tak? Jutro?

Chory namyśla się. Zebranie myśli sprawia mu wielki trud. Wstrząsa nim dreszcz. Mówi cicho sam do siebie.

— Jutro, żeby przynajmniej te dreszcze przeszły.

Z ogromnym wysiłkiem podnosi powieki.

Dziewczynka nie spuszcza oczu z jego twarzy.

Ktoś znowu dzwoni.

Otwiera, rozmawia z kimś w przedpokoju, słysząc głośny, ciężki chód, do pokoju wchodzi wielki, rosły mężczyzna. Trzyma w ręku paczkę owiniętą w szary papier.

Podchodzi do łóżka.

— Witaj Johann.

Chory podaje mu wilgotną lepką rękę.

— Dzień dobry, Paul. No?

Gość udaje wesołego.

— Chciałem koniecznie cię zobaczyć. Jak ci się wiedzie?

— Żle.

Chory zanosi się gwałtownym kaszlem, przerywanym wypluwaniem flegmy. Gość czeka spokojnie, aż kaszel ustanie.

— Co nowego w budzie? pyta chory. Przybysz ożywia się: Jest rad, że chory poruszył temat, na który potrafi coś powiedzieć.

— Nic nowego, nic nowego. Pracy nie ma. Stary wyrzuca jednego po drugim. Pracuje nas teraz tylko ośmiu — wymienia nazwiska — w sobotę znowu dwaj dostaną papiery.

Chory jest zupełnie przytomny. Chociaż leży w łóżku już trzy miesiące, to jednak jego kontakt z placówką pracy nie został jeszcze przerwany. Zadaje pytania, na które przybysz odpowiada.

— Tak, Karol, Willi i Fazenmacher już idą stempłować.

Kładzie na kółdrze paczkę, którą dotąd w rękę trzymał.

— To majster posyła ci truskawki ze swego ogrodu. Powiedziałem mu wczoraj, że cię dziś odwiedzę. Więc dziś rano przyniósł mi to, a poza tym Montka wysyłają do miejscowości kuracyjnej dla płucno-chorych. W poniedziałek wyjeżdża!

— Ach — chory próbuje podnieść się, nie udaje mu się to jednak.

— Stary usunął te szlifowane szyby amerykańskie i dał wprawić niemieckie. Przez to o połowę mniej się kurzy. Nie dawno była komisja sanitarna i zbadała wszystko, ale wtedy były te niemieckie szyby wprawione.

Chory przytakuje.

— Teraz dopiero je usunął, a ja mu już dawno mówiłem, że z tymi amerykańskimi wyrobami nie można wytrzymać, że zbyt wiele brudu trzeba się przez to nałykać, przecież wiesz co mi na to odpowiedział: Jeśli się mnie nie podoba, to mogę codzień chodzić sobie na spacer, na świeże powietrze. A to kawał.

Zamilkł rozgoryczony. Gość umilkł również. Po chwili namysłu rzekł:

— Tak, ale przeklinaniem nic wskórać nie można. Gdybyś wtedy, wraz z nami strajkował o usunięcie tych szyb, napewno byśmy zwyciężyli. Ale ty nie chciałeś ryzykować, mówiłeś, że stary będzie miał na względzie słusność żądań. A co masz teraz? Teraz leżysz tu i masz podziękowanie za to.

— Ach przestań już, my to już zawsze wychodzimy na głupców.

Chory rzuca się niespokojnie na łóżku.

Ciężko wchłania powietrze w żarte chorobą płuca.

Gość zbacza z tematu:

— Twoja żona pracuje jeszcze?

Chory leży cicho, widać, że mówienie sprawia mu trudności.

Kiwa potwierdzająco głową.

— Pracuje nawet w godzinach nadliczbowych: wraca do domu dopiero o ósmej.

Zamilkł z wyczerpania, oczy zamykają mu się. Gość wstaje, wyciąga rękę:

— No to już pójdę, matka czeka w domu z jedzeniem. Dowiedzenia Johann, polepszenia. Postaraj się abyś prędko mógł wstać z łóżka. Przy okazji odwiedzę cię znowu.

Drzwi do przedpokoju zamykają się.

Chory jest zupełnie wyczerpany. Leży nieruchomo z przymkniętymi oczyma, tylko po drżących rękach poznać nikły ślad życia. Te ręce jak ciernie błędzą samowolnie po kółdrze. Wywołują cichy, nieprzyjemny dla ucha szmer, gdy paznogie drapią szorstki materiał.

Zegar nad łóżkiem zaczyna bić ochryplym dźwiękiem szóstą godzinę.

W korytarzu otwierają się drzwi. Robert dwudziestoletni wyrostek biegnie gwizdząc przez przedpokój. Bez słów zbliża się do szafy, ubiera płaszcz. Chory patrzy nań gniewnie.

Dokąd idziesz?

— Odchodzę.

— Dokąd idziesz?

— Naklejać — odpowiada niechętnie chłopiec.

Chory rzuca mu wściekle spojrzenie.

— Lepiejbyś zrobił, gdybyś roboty poszukał, a nie tylko zawsze politykował.

— Politykował! — przerywa mu wyrostek. Przedsiębiorcom byłoby bardzo na rękę, gdybyśmy wszyscy byli tak apolityczni jak ty. Jeśli się nie będziemy bronić, niebawem wcale nie będzie pracy.

Wchodzi do kuchni, Hete siedzi przy stole i obiera ziemniaki. Tytka z truskawkami, które gość przyniósł, leży przed nią; od czasu do czasu wkłada owoc do ust. Robert wyjmuje z kredensu garnek z klejem i szybko zbiega ze schodów.

Chory staje się niespokojny. Ściemnia się.

Zakaszał gwałtownie i poczuł nagle ciepły smak krwi w gardle. Przerazliwy strach chwycił go za serce, trzęsie się cały, zęby jego szczękają. Chwyta sopluczkę i przybliża ją do ust. Ciemny strumień krwi i plwocin spływa do naczynia.

Chory pozostaje w niezmienionej pozycji wsparty na łokciu. Jego oczy są szeroko otwarte z przestachu, z największym wysiłkiem, na jaki się tylko zdobyć może, stara się stłumić kaszel.

Hete! Hete! — woła, głos jego jest jednak tak ochryply, że dziewczynka nic nie słyszy. Umilkł chwilę, zagwizdał wreszcie krótko i głośno.

Hete wchodzi do pokoju.

— Co się stało?

Chory podnosi rękę.

— Zaświeć lampę...

— Już teraz? — dziwi się dziewczynka. Wychodzi do kuchni, przynosi zapalki, zapala lampę gazową. W białym zimnym świetle ukazuje się zapadła twarz chorego. Twarz i broda są zasmarowane krwią. W rękę trzyma sopluczkę pełną krwi. Dziewczynka pyta bez zbytniego zdenerwowania:

— Znowu krwotok?

Chory potakuje. Hete bierze fiolkę z kroplami kodeiny z komody i idzie do kuchni. Ostrożnie, trzymając w rękę łyżkę z lekarstwem, podchodzi do łóżka. Zbliża ją do ust chorego. Chory zanosi się coraz gwałtowniejszym kaszlem. Z płuc wytryska coraz silniejszy strumień krwi, przelewa się z naczynia na rękę chorego i na łóżko.

Dziewczynce wypada łyżka z ręki. Drży ze strachu. Mechanicznie ściera fartuchem krople krwi z ręki. Chory jęczy, porusza ustami, nieспособ zrozumieć go. Dziewczynka ogląda go beznadziejnie.

— Mam zawołać doktora?

Chory potwierdza ruchem głowy, dziewczynka odchodzi nie oglądając się. Biegnie po schodach. Potem cisza.

Chory kaszle. Słychać szmer krwi ściekającej w naczynie.

Czas mija. Chory leży nieruchomo w łóżku i nasłuchuje tykania zegara. Krwotok ustał. Wiele myśli ciśnię się choremu do głowy, lecz nad wszystkimi góruje przekonanie, że teraz umrze. Musi umrzeć. Wie o tym od niedawna. Jeszcze przed dwiema godzinami wierzył, że wyzdrowieje, albo przynajmniej stanie się napowrót zdolny do pracy. Nadzieja ta została wymazana, jak napis kredowy na tabliczce.

Nie odczuwa strachu przed samą śmiercią. Przebiega myślą dzieje swego całego życia. Nic niezwykłego, nic osobliwego nie było w jego życiu. Żywał jak tysiący i setek tysięcy innych proletariackich żywotów. On Johann Szultz, mała częsteczka tej wielkiej masy ludzi ubrudzonych, zepchniętych, niepewnie i beznadziejnie stawia w myśli kropkę nad historią swego żywota i z przerażeniem stwierdza, że życie nic mu nie dało, że mu wszystko dłużne zostało, że on zawsze tylko żądał, że on zawsze tylko dawał, od niego brano, a nic wzamian za to nie otrzymał. W dzieciństwie przeżył i wycierpiał całą niedolę proletriatu, jako dziesięcioletni chłopiec pasał bydło w polu, Kończył szkołę pracował jako parobek, jako osiemnastoletni chłopak przybył do Berlina, dwa lata pracował, potem służba wojskowa, po odbyciu służby znowu praca, zeni się w r. 1912, rodzi mu się syn i odtąd coraz więcej i więcej kłopotów. Ledwo jedna troska ustąpiła już była inna, a wszystko pochłaniało wiele pieniędzy. Co rok żona zachodziła w ciążę i chodziła stale do akuszerki spędzać płód, a w międzyczasie zdarzało się bezrobocie. Żył z zaoszczędzonych kilku marek i było dobrze, jeśli tylko nie brak było na jedzenie i picie.

A potem przyszła wojna. Zostaje ranny, zatruty gazami. I tak dalej. Szlifiernia, dziecko — Hete — a potem choroba i koniec.

Chory wdycha. Jest coraz bardziej znużony. Rozmyśla.

— Gdyby mi wtedy nie odmówiono odszkodowania, byłbym przynajmniej w porę wysłany na leczenie, lub żona miałaby teraz rentę, ale tak...

I na tym: Ale tak... urywa się wątek myśli chorego.

Jest coraz ciszej. O siódmej przyszła dziewczynka z lekarzem. Niebawem zaczęła się agonja. Lekarz wzrusza ramionami i pyta o matkę:

— Trzeba ją koniecznie powiadomić.

Dziewczynka potrząsa głową.

— Matka jest teraz w drodze. Do siódmej pracuje, niecałą godzinę trwa droga.

Dziewczynka woła sąsiadkę i tak siedzą w trójkę i patrzą na umierającego. Stary dyszy cicho, prawie niedosłyszalnie. Twarz jego spoczywa w cieniu lampy, owiniętej gazetą. Kaszel ustał.

Jest godzina pół do ósmej. Stary porusza się lekko, chwytając parokrotnie powietrze — i cichnie. Lekarz przykładając słuchawkę do piersi i nasłuchuje.

(dokończenie na str. 7)

J. Leser

MIŁOŚĆ MAZEPEY

Bohdan Lepki „Motria”. Trylogii „Mazepa” część pierwsza i druga Wydawnictwo Rój, 1937.

Trylogia Bohdana Lepki należy do kategorii powieści historycznych o wielkim rozmachu epickim. Autor nie ograniczył się do motywu przewodniego — miłości wielkiego, chylącego się już ku starości hetmana ukraińskiego do młodej osiemnastoletniej Motrii Koczubejówny, córki generalnego prokuratora ukraińskiego, Koczubeja, ale użył tego motywu jako punkt wyjścia do napisania powieści na temat wielkiej rozgrywki politycznej jaka się w schyłku 17-go wieku rozgrywała między Rosją, Szwecją i Polską. Chodziło o Ukrainę, gdzie rządził hetman Mazepa, postać która swoimi walorami wewnętrznymi i zewnętrznymi fascynowała w owym czasie Europę. Piotr Wielki, ówczesny car Rosji, który faktycznie był panem sytuacji na Ukrainie, używając jej do swoich imperialistycznych celów w walce o prymat polityczny na wschodzie, to główny antagonistą Mazepę. Powieść rozpoczyna się wizytą cara Piotra w Kijowie, goszczącego przez Mazepę, który na jego częste wydaje przyjęcie z prawdziwie wschodnim przepychem. Opis tej uczty należy do najlepszych partii książki. Cechuje go rzadko spotykana plastyka. Jak żywe stają przed nami wielkie postacie cara Piotra i Mazepę, którzy usiłują wzajemnie się przechrzyć.

Dialog, jaki się toczy przy stole biesiadnym fascynuje czytelnika finezją dialektycznych chwytów. Przeciwnie zostały sobie dwie antypodyczne postacie: geniusz rządzący cara Piotra przeciwstawiony został dumnej i wyniosłej postaci obdarzonej niezwykle walorami duchowymi, hetmana Mazepę. Przeciwnie zostały sobie dwie postacie i ich pojedynki słowny stanowi rzadko spotykaną, sugestywnie mocną ekspozycję książki wprowadzającą czytelnika w atmosferę ówczesnych czasów. Czujemy w niej klimat ówczesnego życia, ówczesnych stosunków, ówczesnych metod panowania.

Car Piotr góruje nad Mazepą geniuszem, Mazepa równoważy tę umysłową przewagę Piotra subtelnym wyczuciem sytuacji, darem umowności wobec ludzi i szlachetną postawą życiową. Obdarzony wielkim wyrobieniem politycznym zdobytym przez długoletnie hetmaństwo, potrafi on subtelnie w sposób niepostrzeżony odparowywać ciosy zadawane mu podstępnie przez swoich sprzyjających carowi wrogów politycznych. Autorowi udało się w jednym rozdziale dać nam pełną charakterystykę tych dwu postaci, tak różnych psychicznie i fizycznie. Car Piotr jest jeszcze młody, liczy dopiero lat trzydzieści, jest pełen energii i planów zdobywczych. Marzy mu się panowanie nad całą wschodnią Europą. Jest bezwzględny, krwiożerczy i lubieżny. Ma w sobie przy swych wielkich zdolnościach państwowotwórczych coś z dzikiej bestii. Innym zupełnie jest stary hetman Mazepa, który mimo swych sześćdziesięciu lat zachował jeszcze zarówno fizyczną jak i duchową młodość. Bogata w przygody przeszłość, nieustraszona odwaga, która go w najkrytyczniejszych chwilach ratowała z różnych ciężkich opresji, pogarda śmierci mimo wielkiego ukochania życia, uczyniły zeń postać, która fascynowała największych pisarzy. Był to nie do pogardzenia przeciwnik polityczny dla Piotra, twórca Piotrowego Grodu. I nic w tym dziwnego, że w chylącym się już ku starości Mazepie mogła się zakochać 18 letnia Motria, która stworzona była do odegrania znacznej roli przy boku Wielkiego Hetmana. Ta Motria to postać może trochę niezyciowa, ale autorowi udało się przedstawić nam ją tak, że dajemy wiarę jej uczuciowej reakcji na miłość

Hetmana. W oczach Motrii urosł Mazepa do rozmiarów symbolu, do miary fantastycznego bohatera. Był on dla niej synonimem szlachetności, odwagi, rycerskości i męskości.

Z większą może jeszcze wyrazistością udało się autorowi odtworzyć postacie małżonków Koczubejów. Koczubej to była na Ukrainie druga po hetmanie persona, który jednak uległ całkowicie podstępom swej zawistnej małżonki, pragnącej widzieć swego męża na stołcu hetmańskim.

Na tym tle dochodzi do rozłamu w rodzinie Koczubejów. Koczubejówna pragnie siebie widzieć hetmanową, a gdy zanoszą się na to, że zostanie nią córka, nie cofa się przed zamknięciem jej w klasztorze. Motria ucieka i ta jej ucieczka i związane z tym perypetie o charakterze nie tylko prywatnym ale także wybitnie politycznym stanowią watek dość urozmaiconej akcji.

Autor trylogii „Mazepa” posiada głęboki oddech wielkich epików, jest jednak w opisach nierówny. Czasami wierzyć się nie chce, że poszczególne rozdziały napisane zostały przez tego samego autora. W książce jest bowiem snoro partii opisowych, nużących rozwlekłością epizodów, któreby można bez uszczerbku dla całości usunąć. Przeciwnie powieść zyskałaby przez to na zwartości i sugestywności.

Na specjalną uwagę zasługują styl i forma Bohdana Lepki. Autor archaizuje, używając w tym celu odpowiedniej rytmiki zdań bardzo często rymowanych, szczególnie w dialogach naszpikowanych trafnymi odpowiadającymi ich atmosferze sentencjami. Ta z wszechmiar oryginalna forma powieściopisarska jest naprawdę godna poznania.

Obok pierwszego rozdziału, stanowią-

Melly Ander

Kobiety muszą pracować

Richard Aldington: „Kobiety muszą pracować” — przekład Haliny Gądek — Instytut Wydawniczy „Lektura” — Warszawa.

Zagadnienie pracy kobiecej w czasach obecnych nabiera szczególnej wagi. Wojna przyspieszyła ewolucję procesu naturalnego i zmusiła wiele kobiet do objęcia warsztatów, opuszczonych przez mężów. Okazało się, że kobiety wniosły do nowych nawet dla siebie dziedzin, oprócz sumienia i właściwej im drobniarowości, ponadto pewną pomysłowość, pewną inicjatywę.

W sferze proletariatu zagadnienie pracy kobiecej nie istnieje wyosobnione, jest ono związane nieodłącznie z kwestją ogólnego bezrobocia: — pracuje ten z członków rodziny, kto pracę otrzymuje, kto ją ma. Praca jest dobrodziejstwem, jest jedynym ratunkiem od śmierci głodowej. Nikt więc w tych warunkach nie przebiega i nikt się nie zastanawia. Często następuje pewna inwersja ról, mąż zajmuje się niewdzięczną i mało widoczną pracą w gospodarstwie, żona zaś staje przy warsztacie, idzie do fabryki, do kopalni — w warunkach, w których zastępuje męczyznę jako siła nabywcza tańsza i mniej wymagająca.

Kwestia pracy kobiecej sprowadza się więc praktycznie do zagadnienia inteligentkiego. W niektórych krajach — a zwłaszcza w Palestynie — „zawód” żony nie istnieje. Kobieta pracuje, pracuje dla swego domu, dla swego kraju, czysto burżuazyjne pojęcie żony, jako istoty, stojącej na straży czystości podłóg i punktualności obiadu i bardzo przejętej ważnością swej roli, która nie pozwala jej na miłość

czego jakby ekspozycję powieści, należy zwrócić uwagę czytelnika na rozdział p. t. „Nieznamy”, w którym autor sugestywnie i plastycznie opisuje nagłe zjawienie się w domu Mazepę tajemniczego wędrowca, biadającego nad nieszczęsnym losem Ukrainy. Jego wypowiedzi posiadają ciężar gatunkowy proroczych przepowiedni i przestroż.

Pięknym i artystycznie pełnym jest rozdział pod tytułem „Maria Magdalena”, w którym autor z niezwykłą siłą ekspresji opisuje wizytę hetmana u swej matki, osiemdziesięcioletniej inhuementi klasztoru Marii Magdaleny, którą hetman w ciężkich chwilach życia przed powzięciem ważnych przełomowych decyzji odwiedza. Odczuwamy klimat klasztornego życia, klasztornej ciszy. Mądra, mająca już za sobą życie doczesne inhuementa wysłuchuje w skupieniu skarg syna, wytyka błędy perswadyje i radzi. Na taki stopień ekspresji może się zdobyć pisarz naprawdę nieprzeciętnej miary.

Epicznie potraktowany jest opis dworu Koczubejów. Poznajemy w najdrobniejszych szczegółach tryb życia możnej szlachty ukraińskiej. Poznajemy Motrię, jej porywy, jej burzliwe, niezadowolające się tuzinkową miłością serce. Natomiast dość błado wypadły dialogi Hetman—Motria. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że są to rozmowy dwojga zakochanych wyjątkowej natury.

O dziele Bohdana Lepki można śmiało powiedzieć, że wzbogaciło ono beletrystkę o nową nieprzemijającą wartości powieść.

Przekładu dokonała Maria Lazar Bielnikowska wprost mistrzowsko. Odnosi się wrażenie, że czyta się świetnie pod względem stylistycznym napisany oryginał.

Notatki bibliograficzne

J. Plechanow: Podstawowe zagadnienia Marizmu. Wvd. „Znicz”, Warszawa 1936.

W powodzi różnych pseudo - naukowych prac, podszywających się pod etykietę socjalizmu, należy ze szczerym uznaniem powitać ukazanie się II-giego wydania wyżej wymienionej książki (I-e wydanie wyczerpane jest od wielu lat). Plechanow, czołowy teoretyk rosyjskiej socjalnej demokracji przed wojną, kreśli w tym nie wielkim dziełku podstawy filozoficzne historycznego materializmu. Autor jest przeciwnikiem reformistycznych teorii, głoszących, iż marxizm to tylko doktryna ekonomiczna - socjologiczna. Według kierunku przezeń reprezentowanego nie jest to tylko materializm historyczny, ale materializm dialektyczny, który jest całkowitym poglądem na świat, w ogóle, poglądem wyrastającym z poprzedzających go systemów filozoficznych, a będącym ich konsekwentnym, dzięki ogólnemu rozwojowi nauk, zakończeniem. Materializm dialektycznej metody Hegla, oraz materializmu Feuerbacha.. Materializm historyczny, to tylko część materializmu dialektycznego, część, dotycząca poglądu na dzieje ludzkie, to tylko historiozofia.

Lecz Marx i Engels opracowali szczegółowo tylko historiozoficzną i ekonomiczną dziedzinę, podstawa zaś filozoficzna została przez nich tylko naszkicowana, albo w mniejszych pracach, jak „Ludwik Feuerbach” Engelsa, albo też w dziełach polemicznych, jak „Nędza Filozofii” Marx’a oraz „Anti-Dühring” Engelsa. Brak ten dla asympt do najroźnorodniejszych komentarzy. Głoszono, iż marxizm to tylko te dwie wymienione dziedziny, którym trzeba dopiero uzasadnienia filozoficznego; łączono też według upodobania, głównie z t. zw. neo-

kantyzmem (szkoła austro-marksistowska).

Książka Plechanowa uzupełnia częściowo tę lukę. Jest to treściwy, przejrzysty wykład, który zapoznaje czytelnika zarówno z historią powstania doktryny materializmu dialektycznego, jak i z jego zasadami, oraz daje świetne przejście do historiozofii, czyli t. zw. materializmu historycznego. Pracę uzupełnia krótki zarys metodyki dialektycznej. Wielkie bogactwo poruszonych zagadnień, jasny styl i last but non least—aktualność, czyni z książki tej doskonały podręcznik dla każdego, kto chce poznać właściwe podstawy socjalizmu naukowego.

Edmund Stein: Majmonides jako arystotelik żydowski. Nakładem Tow. Krzewienia Nauk Judaistycznych w Polsce. Warszawa, 1937.

Broszura pod powyższym tytułem zapoznaje czytelnika zarówno z życiem i poglądami Majmonidesa, jak i wprowadza w zagadnienia, dotyczące historii filozofii żydowskiej.

W wieku XI i XII, gdy jeszcze Europa pogrążona była w mrokach barbarzyństwa, w epoce gdy starano się dopiero nawiązać do wielkiej, zniszczonej i zaprzepaszczonej kultury antycznej, myśl filozoficzna również nie mogła wznieść się ponad swą epokę i tkwiła jeszcze w powijakach. Wczesne średniowiecze korzystało zaledwie z drobnych, przypadkowo ocalałych fragmentów dorobku filozofii greckiej i rzymskiej, a i te znane były po większej części z drugiej ręki, za pośrednictwem komentatorów, lub dzieł uczonych Ojców Kościoła ze schyłku Świata Starożytnego. Filozofia owej epoki, reprezentowana głównie przez wczesną myśl scholastyczną (św. Anzelm), nawiązywała głównie do platonizmu. Z Arystotelesa znano zaledwie fragmenty. Wielkie dzieło oparcia scholastyki o Arystotelesa, o jego subtelne dystynkcje formy i materii, oraz wprowadzenie trzeźwiejszego toku myśli, tak do metafizyki, jak i do etyki, zostało dokonane dopiero przez św. Tomasza w XIII wieku, poprzedzone zaś zostało przez filozofię arabską i żydowską.

Arystoteles znany był w świecie z wolnych tłumaczeń i komentarzy, które dawały do nauk myśliciela ze Stagiry neoplatonską doktrynę emanacji.. Z jednej strony spowodowało to, iż arystotelicy arabscy byli jeszcze napoleo neoplatonikami, lecz z drugiej dzięki tym zmianom była to doktryna do przyjęcia zarówno dla mahometan, jak i dla Żydów.

Żydowska nauka o osobowym Bogu z Jego wszechmocą i wszechwiedzą, Bogu, który jest przedmiotem tak bojaźni, jak i miłości, mogła oprzeć się o arystotelizm w tej interpretacji. Dzieła tej syntezy dokonał Mosze ben Majmon z Kordoby (1135—1204), zwany Majmonidesem, jeden z największych filozofów, jakich wydało żydostwo. I jak systemat Filona z Aleksandrii, twórcy emanatyzmu, należy do dorobku ogólnoludzkiej filozofii, tak też i Majmonides dzięki arystotelizacji Judaizmu stał się mostem, po którym arystotelizm ze świata arabskiego przyszedł do chrześcijańskiej Europy, aby tu już w swej nieskażonej postaci święcić triumfy, jako podstawa klasycznego okresu scholastyki.

Broszura dr. Edmunda Steina, napisana zwięźle i rzeczowo, doskonale szkicuje filozofię Majmonidesa ze szczególnym uwzględnieniem charakterystycznych dlań, jako wierzącego Żyda, interpretacji, jak na przykład: teorii kosmicznej erotyki.

A. IZRAELEWICZ.

WALTER SCHIRMEIER

SCHULTZ UMARŁ NIEODWOŁALNIE...

(Dokończenie ze str. 6)

— Śmierć — powiada świadectwo śmierci może matka otrzymać jutro u mnie.

Odchodzi... Sasiadka składa ręce nieboszczykowi, przymyka powieki, przewijając podbródek chustką i przykrywa twarz chustką. Spełnia to zajęcie ze spokojem. Do dziewczynki powiada:

— Ojciec nie żyje. Lepiej dla niego, a matka pozbyła się ciężaru.

Dziewczynka przytakuje. Nie płakała jeszcze, czuje się tylko przynębiona i na swojo z powodu niesamowitych czynności, wykonywanych przez sasiadkę na nieboszczyku. Kwadrans przed przyjściem matki przystawia ziemniaki do gotowania.

Wreszcie dzwonią. Sasiadka na chwilę weszła do swego mieszkania. Dziewczynka otwiera matce drzwi. Lewą ręką wskazuje za siebie, prawą zamyka drzwi i powiada:

— Ojciec nie żyje...

Następnego dnia jedzie przez ulice ciemne auto. Mężczyźni wnoszą trumnę do domu. Klną, że schody są wąskie i ciemne. Na górze wkładają wychudłe, zimne, sztywne zwłoki do trumny,

zamykają wieko, znoszą ją ze schodów. Żona niewiele płacze. Nosi ciemno niebieską suknię, bo nie ma pieniędzy na kupno czarnej. Smutek dziewczynki zagłusza chwilowa radość, że z powodu śmierci ojca będzie miała parę wolnych dni od zajęć szkolnych. Idzie dumnie po chodniku z krepową opaską na ramieniu i czarną wstążką we włosach i oznajmia każdemu, kto ją tylko słuchać chce, ważną nowinę:

— Mój ojciec umarł.

Po trzech dniach odbywa się w krematorium, iąg dalszy obrzędu pogrzebowego. Niewielu jest tu ludzi :żona, dziewczynka, syn, sąsiedzi, Paul i paru kolegów. Palenie ciała trwa dobre 10 minut. Przez przedsiębiorstwo pogrzebowe wynajęty mówca wypowiada parę smutnych słów. Trumnę spuszcza się w głąb pieca. Organy grają. Kobieta łka. Pocięzają ją.

— Jemu jest z pewnością lepiej, a dla pani był tylko ciężarem.

Potem idą koledzy do knajpy wypić szklaneczkę piwa dla uczczenia pamięci zmarłego.

Następnego dnia żona nie idzie jeszcze do fabryki, sprząta.

w domu obydwa garnitury męża — jeden na dzień powszedni, a drugi świąteczny, zawiesiła w szafie w samym rogu, nasypawszy do kieszeni naftaliny. Ubrania te będzie później nosił Robert — albo kto wie, może wyjdzie powtórnie zamąż, ma dopiero czterdzieści lat.

W czasie sprzątanja natknęła się na politerowaną skrzynkę. Przegląda papiery, bierze gazetę ze stołu — wycina dolny odcinek — nekrolog kolegów.

— W środę dnia 13 kwietnia 1932 r. zmarł po długich cierpieniach nasz ukochany kolega Johann Schultz, lat 48. Cześć jego pamięci!

Poniżej znajduje się pompatyczny nekrolog zmarłego poprzedniego dnia, dyrektora banku, jeszcze niżej, straty i zyski jakiegoś towarzystwa akcyjnego, które swym akcjonariuszom komunikuje o wypłacie 12% dywidendy za ostatni rok kalendarzowy. Kobieta dopisuje ołówkiem na marginesie gazet:

„Johann Schultz, cmentarz południowy, rząd 15, miejsce 263”. Zatrzasnęła skrzynkę i odstawia ją spokojnie na swoje miejsce.

Proletariusz Johann Schultz umarł nieodwołalnie.

ANTE NA ŚWIATA TEATR

Paryż contra Hollywood

Na łamach prasy francuskiej i w kołach filmowych podniosła się wielka wrzawa z powodu „ucieczki” licznych gwiazd do Hollywoodu. Rzeczywiście, ostatnimi czasami podpisało kontrakty względnie przeniosło się do Hollywoodu wielu francuzów. Są to — Danielle Barrieux, Annabella, Simone Simon, Michel Morgan, Charles Boyer, Termand Gravet i t. p.

Oczywiście wstrzymać tę wędrówkę za-oceaniczną nie sposób. Francuski przemysł filmowy nie jest tak bogaty, aby płacić bajeczne honoraria, a zresztą Hollywood w ogóle opiera się na cudzoziemcach.

Tym nie mniej, francuski syndykat filmowy przeprowadził dwie ważne uchwały. Francuskim filmowcom, należącym do związków zawodowych zaproponowano: 1) nie zawierać kontraktów za granicą więcej aniżeli na jeden film i na okres czasu nie dłuższy aniżeli na rok; 2) W ciągu tego czasu przyjąć udział nie mniej, niż w jednym filmie w ojczyźnie.

To ograniczenie praw francuskich artystów i techników filmowych w stosunkach z zagranicą wywołało wśród nich wielki protest. Opinia hollywoodzkich przedsiębiorstw w tej kwestii jest jeszcze nie znana.

Nowy teatr Meyerholda

Słynny sowiecki nowator sceny, Karol Meyerhold, przystąpił do budowy nowego teatru subsydiowanego przez rząd. Ma to być typowy teatr komunistyczny. Aczkolwiek budowa niedawno została rozpoczęta, Meyerhold chętnie udziela informacji o wyglądzie i charakterze przyszłego teatru.

A więc, nowy ten teatr obliczony jest na dwa tysiące miejsc. Widownia będzie miała kształt podkowy. Łóż — symbolu burżuazyjnego odosobnienia — nie będzie; będą tylko balkony, gdzie widownię nie są od siebie oddzieleni, wręcz przeciwnie tworzą jedną zwartą masę. W ten sposób osiągnięta zostanie „wspólność” wrażenia — śmiech i łzy łatwiej zarażą publiczność. Żadnych barier — rezultatu egoizmu i kapitalistycznego zamknięcia się w sobie. Wszystkie miejsca będą jednakowe zarówno pod względem wygody, jak i pod względem ceny. Proletariat tego żąda, żądają tego i aktorzy, którzy uważają, że przy „wspólnocie” wrażeń łatwiej jest im grać.

— Widz nie powinien ani przez chwilę zapominać o tym, że przyszedł on na widowisko, że będzie on patrzył nie na rzeczywistość, na życie, lecz na sztukę, na grę; i w tym właśnie celu, aby to silniej podkreślić, za sceną wybudowana zostanie ogromna ściana. W ścianie tej będą się znajdować garderoby aktorów, otwarte dla oczu publiczności. W ten sposób publiczność będzie widziała, jak się aktorzy charakteryzują jak się ubierają do przedstawienia, jak po zewnętrznych schodach będą schodzić ze swej garderoby na scenę.

— Na scenie maszyniści będą na oczach widzów ustawiać dekoracje (bardzo prymitywne), parter zaś zbudowany zostanie w charakterze podwórza dla wjazdu przyjeżdżających na przedstawienie: auta wjadą przez bramę w sam środek teatru i tam będą wysiadać, aby dla publiczności siedzącej już na swoich miejscach i to stanowiło część widowiska.

Pietropawłoskie kuranty

Od r. 1933 prowadzone są roboty, mające na celu zmienić mechanizm sławnych historycznych kurantów z fortecy Pietropawłowskiej w Leningradzie, aby dzwony wydzwoniły międzynarodówkę.

Lecz wszystkie dotychczasowe przeróbki i próby nie dały pozytywnego wyniku. Obecnie eksperci doszli do wniosku, że niepodobieństwo robot jest wynikiem tonalności dzwonów. Tak więc po czteroletnich żmudnych i bardzo kosztownych pracach nad przystosowaniem istniejących dzwonów do nowych warunków, postanowiono zaniechać tej pracy i zamienić część dzwonów w kurantach na nowe.

Ciekawe wykopaliska

We Wiedniu, w czasie naprawiania przewodów kanalizacyjnych pod jedną z głównych ulic, natrafiono na ślady domu rzymskiego z I-go czy też z II-go wieku. Niezmiernie ciekawą jest budowa pieców w tym domu. Przez specjalne rury, zainstalowane w jednym z mieszkań, rozchodziło się po całym domu gorące powietrze i ogrzewało pozostałe mieszkania. Jak widziemy zasada centralnego ogrzewania nie jest absolutnie nową, gdyż Rzymianie znali ją dwa tysiące lat temu.

Gra przypadku

W austriackim mieście Hengersdorf pewien miejscowy kupiec za naruszenie zasad

handlow. został skazany przez sąd na wysoką grzywnę. Akurat w tym samym czasie, kiedy prowadzona była rozprawa sądowa, do mieszkania kupca dostali się złodzieje i wynieśli z domu doszczętnie wszystko, między innymi, i znaczną sumę pieniędzy. Kradzież ta całkowicie zrujnowała kupca. Był on teraz zupełnie pozbawiony możliwości uiszczenia grzywny i tym samym zmuszony był udać się do więzienia, aby odsiedzieć karę zamiast grzywny.

Kupca wprowadzono do celi więziennej, w której, znajdował się już jakiś więzień. Spojrzawszy na niego, handlowiec zdumiał: więzień nosił skradzione u niego ubranie i buty. Kupiec natychmiast zakomunikował o tym dyrektorowi więzienia. Przeprowadzono rewizję w mieszkaniu złodzieja. Znalezione tam wszystkie rzeczy i większą część pieniędzy skradzionych kupcowi. Pieniądze i rzeczy zwrócono ich prawnym właścicielowi, który natychmiast uiszczył grzywnę i zwolniony został z więzienia.

Międzynarodowy Instytut Finansów Publicznych

Z inicjatywy francuskich uczonych, specjalistów nauki skarbowości, został ustanowiony, po zakończeniu odbytego w Paryżu kongresu nauk społecznych i ekonomicznych, międzynarodowy instytut finansów publicznych.

Instytut będzie miał za zadanie badanie problemu nauk finansowych bądź to niezależnie, bądź to w związku z zagadnieniami prawa cywilnego, ekonomii politycznej i polityki ekonomicznej.

W skład Instytutu wešli nie tylko przedstawiciele nauki finansów publicznych, lecz także wybitni przedstawiciele administracji finansowej poszczególnych krajów. Pierwszym prezesem Instytutu wybrany został prof. Allix, członek Akademii Francuskiej, dziekan paryskiego wydziału prawnego.

Instytut mieścić się będzie w gmachu paryskiego wydziału prawnego, przy czym pierwsza sesja Instytutu odbędzie się latem 1938 r.

Śmierć w czasie egzekucji

Sędzia Edward Hamilton obecny był podczas egzekucji Franka Agillara, zabójcy pięcioletniej dziewczynki. Egzekucja miała miejsce w więzieniu Canon-City w stanie Colorado. W czasie wykonywania wyroku śmierci sędzia zmarł na atak sercowy.

W Colorado stracenia dokonywa się przy pomocy trującego gazu. Oskarżonego wprowadza się do specjalnej kabiny, którą się następnie napienia gazem. Najpewniej serce Hamiltona nie zniósło widoku powolnej śmierci oskarżonego. Lecz istnieją i przypuszczenia inne a mianowicie, że z kabiny oskarżonego ulatniał się powoli gaz do pokoju w którym znajdowali się przedstawiciele władz. Nie jest wykluczone, że dość było minimalnej ilości trucizny, do zabicia człowieka o słabym sercu.

Międzynarodowy język dla gastronomów

Generalny Komisariat Wystawy Paryskiej otrzymuje ciągle setki skarg od cudzoziemców, narzekających na to, że nie są oni absolutnie w stanie dać sobie rady z francuskim menu, i że z tej przyczyny najczęściej zamawiają nie to, na co mają ochotę. Aby na przyszłość temu zapobiec generalny komisariat opracował typ-menu w trzech językach: francuskim, niemieckim i angielskim. Menu to zostało już wydrukowane i obecnie rozdaje się bezpłatnie zwiedzającym wystawę. Również takie menu znajdują się we wszystkich restauracjach i barach wystawowych.

Człowiek który zjadł własny kapelusz

Istnieje w Anglii następujące przysłowie: „Jeśli nie mam słusznosci, to niech zjem własny kapelusz”. Jeden z mieszkańców Melbourne postanowił spełnić to przekleństwo. Złożył się on z kilku swoimi znajomymi, że odpowie prawidłowo na wszystkie pytania, zadawane przez radio. „A jeśli nie odpowiem — przysięgam — to zjem swój kapelusz”.

Próby nie wytrzymał, albowiem nie mógł odpowiedzieć nawet na potowę pytań. Udał się więc po przegraniu zakładu ze swoimi świadkami do restauracji, gdzie pokroił swój kapelusz na drobniutkie kawałeczki i zjadł razem z befsztykiem i kartoflami.

Nie bacząc na to wielce oryginalne menu, oryginał nawet nie zachorował na drobną nawet niedyspozycję żołądka.

Kariera Runcimana

W Newcastle w wieku 90 lat zmarł lord Runciman, jeden z najbogatszych przedsiębiorców okrętowych. Ruciman, będąc jeszcze chłopcem, dwukrotnie uciekał z rodzicielskiego domu, aby wstąpić na okręt w charakterze marynarza. Mając lat 21 zdał egzamin kapitański, a w kilku lat później utworzył pierwsze towarzystwo okrętowe; po paru latach został posłem, ale już jako milioner.

Przed paru laty otrzymał godność barona. Syn jego Walter był ministrem handlu za rządów Baldwina i przy dymisji otrzymał godność viscomta.

W ten sposób utworzyła się rzecz dotychczas w Anglii nienapotykana. — Syn piasuje wyższą godność aniżeli ojciec. Teraz syn, chcąc zatrzymać swą godność, musi się usilnie starać o nie dziedziczenie tytułu po swym zmarłym ojcu.

Pałac literatury na Wystawie Paryskiej

„Pałac literatury, książki, graficznej sztuki i rzemiosła” zawiera tak wiele różnorodnych oddziałów, że nie sposób wszystkiego spamiętać. Pierwszy z nich poświęcony jest twórczości współczesnych francuskich pisarzy klasyków. Tu pokazano publiczności laboratorium twórczości, proces tworzenia przez pisarza jego dzieła: od pierwszego pomysłu aż do wykończenia rękopisu. Cały wielki pawilon zajęty jest witrzynami 13-tu autorów. Szerokie schody prowadzą stamtąd na pierwsze piętro, gdzie w całym szeregu pokazane jest techniczne powstawanie i dalszy los książki: jej druk, przechowanie, ilustrowanie, rozpowszechnianie. Te wszystkie obszerne sale wystawowe, podług których można już po części sądzić o wnętrzu przyszłych nowych muzeów Trocadero, są b. przyjemne, jasne, proste i świeże. Ekspozycje ułożone są i pokazane z wielką sztuką, gdzie trzeba rzucić się w oczy, gdzieindziej tworzą przytulne kąciaki.

Oddzielną jakgdyby wystawę stanowi oddział biblioteczny. Jest to według ostatniego słowa techniki urządzone pomieszczenie na bibliotekę. Meble biblioteczne, półki, stoły, szafy dla dezynfekcji książek, klasyfikatory, przeróżne typy katalogów, różne systemy fiziek. Sale dla przyjmowania i wydawania książek, czytelnie gazet, sale dla dzieci, biblioteki dla niewidomych, biblioteki ruchome, szpitalne i t. p. Specjalne miejsce poświęcone jest różnym sposobom analizy dokumentów: a więc drogą fotografii, reakcji chemicznej, fal ultra fioletowych. Jedna cała witryna poświęcona jest fotograficznemu zmniejszaniu książek i dokumentów i pamięci pierwszego wynalazcy tego sposobu — francuza Dragolier. On zorganizował wysyłkę depezy pocztą gołębią z obleganego przez Prusaków Paryża.

Oddział druku i techniki graficznej ściąga masy publiczności przyglądającej się z zajęciem ręcznej fabrykacji papieru przez kaspra Majol. Na oczach publiczności starzec w berecie na siwej głowie miesza masę papierową. W wielkim kotle, wykonywa szeregi innych manipulacji, aby w końcu rozwieść na poszczególnych sznurkach arkusze papieru do wysuszenia.

Wielka sala przeznaczona jest dla ekspozycji drukarskich, między innymi plakatów, afiszów i reklam, a na jednej ze ścian tablica poglądowa rozwoju alfabetu. Osobna galeria poświęcona jest fotografii, a w suterynach mieszczą się wszelkie możliwe maszyny graficzne.

Górne sale poświęcone są ruchowi wydawniczemu. Ponad 20 tys. tomów rozdzielono pomiędzy różne biblioteki: jak techniczna, wojenna, morska, prawnicza, filologiczna, archeologiczna, dziecienna, kobieca i t. p. Tu się również znajdują wydawnictwa periodyczne, karty, plany i grawiury. Bardzo obszerny jest oddział muzyczny.

Dużo przyjemności dostarczą amatorom książek dział wydawnictw ozdobnych. Znajdują się tu wszystkie najlepsze książki francuskiego typu wydane w ciągu ostatnich lat. Pięć lat ozdobiłych czerwonym lakierowanym drzewem — to swojego rodzaju muzeum pięknie wykonanej książki. Jest to jakgdyby dopełnienie dolnych pięter klasyków, już nie żyjących. Mamy tu przed oczyma najpiękniejsze wydania żyjących autorów. Oprócz książek — znajdują się tu wielkie portrety pisarzy, powiększone okładki, ilustracje i wybrane strony z książek. Są tam „Noce Paryskie” Francis Carco, „Towarzysze” Jules Romains, „Mimi” Marcelle Sehwoba, książki Duhamela, Moranda, Maurois i wielu innych.

Duży i pięknie utrzymany dział przeznaczony jest współczesnej francuskiej grawiurze. Ponad trzydzieśc prezentuje jej technikę, cudowne odciski — jej wyniki.

(L—y).

TEATR NARODOWY.

James M. Barrie: „Sluga jego lordowskiej mości” (The Admirable Crichton) komedia w 4. aktach przekład Karola Frycza.

De gustibus non est disputandum. Przysłowie to daje się w pełni zastosować do komedii zmarłego nie dawno komediopisarza angielskiego J. M. Barriera, która w Anglii cieszyła się wielkim powodzeniem a w Teatrze Narodowym sukcesem dość względnym. Komedia ta, którą ze względu na specyficzną budowę i kompozycję należałoby raczej nazwać satyrą komediową jest zupełnie pozbawiona tego co nazywamy vis comica a co właściwie głównie stanowi o powodzeniu komedii. Komedia ta przypomina bardzo ostatnie komedie Shawa. Cechuje ją przyciężka dialektyka, ciężko - strawny dowcip, który trzeba dopiero wyluskiwać z grubych łupin przeróżnych socjalno-klasowych sentencji. A ponad to znamionuje ją przysłowiowa angielska flegma pozbawiona zupełnie nawet cienia tej tak dla komedii ważnej, solidnej (nie taniej farsowej) błyskotliwości. Najzabawniejsze sytuacje wychodzą z autora „Crichtona” jakby przytłoczone ciężarem społecznych refleksji.

„Crichton” posiada bezspornie wiele materiału komediowego, ale niestety, nie odpowiednio wyzyskanego. Zbytnią powolność akcji nuży naszego widza. On wyczuwa tylko, że komedii napisał autor, który ma coś do powiedzenia — nie starczy to jednak naszemu widzowi. Wychowany na francuskiej komedii wymaga on od komediopisarza w pierwszym rzędzie esprit, wyczucia sytuacyjnego komizmu i odpowiedniego tempa. Leniwie tocząca się akcja mimo wysokowartościowej treści nie potrafi naszego widza zadowolić.

„Crichton” to cięta satyra na snobistyczne demokratyczną arystokrację angielską, która zachowując wszystkie dobrodziejstwa płynące z swej uprzywilejowanej pozycji społecznej, a gnie dla dodania sobie aplendoru zrównać się na pokaz z pospólstwem. Autor nie wierzy w zrównanie ludzi pod względem hierarchii społecznej. Zawsze będą rządzący i rządzeni. Autor pokazuje nam jak to na bezludnej wyspie dokąd dostała się rodzina lorda Loam wraz z rodziną po rozbiciu i zatonięciu jachtu powstaje nowa klasa rządząca. Kamerdyner Crichton, który towarzyszył rodzinie lorda w podróży staje się przełożonym i gospodarzem wyspy dzięki swoim zdolnościom zorganizowania nowego życia na bezludnym postkowie, przybierając groteskowe pańskie maniere klasy rządzącej. Powrót do ojczyzny po latach pobytu na dzikim odludziu zmienia od razu sytuację. Kamerdyner wraca do swoich obowiązków kamerdynowskich, ale w duszy lorda pozostaje uraz psychiczny uczucia niższości wobec

bec dawnego swego władcy — slugi jego lordowskiej mości, Crichtona.

Tytułową rolę Crichtona zagrał znakomicie Józef Węgrzyn. Miał on wspaniałą maskę sztywnego człowieka na posterunku, tak w roli podwładnego jak i w roli przełożonego. W roli lorda Loam wystąpił niezawodny Zygmunt Chmielewski. Dowcipniśia „z bożej łaski” śpiącego niedowcipnymi dowcipami, krewniaka Loam, Ernesta Woolay, zagrał bardzo dobrze Jan Ciecierski. Alina Żeliska w roli nieokrzesanego popychadła Tweeny, budziła na widowni salwy szczerego śmiechu. Piękną sylwetkę arystokratycznej damy stworzyła Helena Sulima (hrabina Brocklehurst). Reszta zespołu wywiązała się z swoich ról bez zarzutu. Reżyseria K. Borowskiego. Piękne dekoracje St. Jarockiego.

TEATR KAMERALNY

„Skandal w rodzinie Kinga” krotoczuła w 4. aktach H. Adlera. Przekład Karola Ramockiego.

Ten skandal w rodzinie Kinga jest bardzo zabawny, ale mocno nie prawdopodobny. Milioner, właściciel wielkiego trustu prasowego zmienia żony jak rękawiczki, by dogodzić (co za profanacja płci pięknej!) swemu choremu żołądkowi. On jest stale w poszukiwaniu żony, która by dbała o jego dobre trawienie. Ostatnią swoją żonę, tę którą widziimy na scenie, poznał właśnie w Karlsbadzie na kuracji. Biedny King nie może jakoś przybić do trwałej i pewnej przystani małżeńskiej, która by równocześnie przyniosła ulgę jego skołatanemu żołądkowi. Gdzie znaleźć taką żonę, która by przy swoich walorach zewnętrznych dbała równocześnie o jego dobre trawienie... Samolubne kobiety, naktóre natrafił myślał o wszystkim, tylko nie o jego żołądku. Ostatnia jego żona to była pokojówka jego podwładnego, Dr Turgartnera, Franzi która miał znaleźć się w ryzostoku, jak to jej przepowiedziała w przystępie furii z związku z aferą listową swego męża jej chlewauczyni, p. Turgartenowa, wyładowała dzięki wypróbowanemu na swoich chlebaodawcy Dr. Turgartenie sposobowi, jako żona p. Kinga. W rezultacie otrzymujemy zabawne qui pro quo.

Ala ta cała kulinarno-erotycka koncepcja krotoczuwi jest grubo niesmaczna, przy czym jej finał robi wrażenie, jakoby autor nie potrafił z tego swego pomysłu scenicznego wybrnąć. Jest to krotoczuwa z domysłnikami bez finału.

Rolę Franzi zagrała z umiarową werwą Hanna Różańska. Dr. Janem Turgartenem był Artur Kwiatkowski, mister Kingem — Józef Leśniewski, Turgartenową Irena Bronóczy. Reżyseria Emilia Chaberskiego. Dekoracje St. Jarockiego.

J. L.

KINO

BAŁTYK

„BOHATEROWIE MORZA”

Poezja nieogarniętego żywiołu, poezja niezmiennych dali, piękno życia ludu morza przeniesione na ekran dostarcza wrażeń jedynych w swoim rodzaju, wzruszeń niepowtarzalnych. Twardo, a tak romantyczne, pełne niebezpieczeństw, pracy, mozół, życie rybaków opromienione wielką miłością do ich dobroczyni i katar — morza — jest treścią tego pięknego filmu o ludziach prostych i szorstkich, jak ostry podmuch wiatru, o ludziach najsłabszych, najbardziej prawych. I gdy do tego środowiska dostaje się bogaty, zepsuty panikier z wielkiego miasta — nie dziwne jest, że po pierwszych chwilach buntu musi go wrzec piękno i patos tego życia, musi wytworzyć w nim przemianę, jakich nie dokonałby najwiękzy pedagog. Pod względem filmowym ta interesująca powieść Kiplinga odtworzona została w sposób pod każdym względem doskonały. Nastrój utrzymany od początku do końca trzyma widza w ścisłym napięciu serce wzruszeniu i napięciu, szereg wspaniałe odmalowanych typów czyni grono to tak bliskie i swoje, że razem z Harleym przeżywamy tragiczną śmierć Manuela, razem z kapitanem szkuneru doznajemy jego ambicji i emocji w wspaniale zrobionym uścigu dwóch łodzi. Film obfituje w sceny wręcz gigantyczne w swym wyrazie — choć operując środkami najskromniejszymi — gest, spojrzenie, czy specjalnie wyraziste zdjęcie potrafi więcej powiedzieć, niż najbogatsze w środki techniczne pomysły.

Gra aktorów przejętych swą rolą podniosła jeszcze w dwójnasób wrażenie tego filmu. Spencer Tracy swą kreacją Manuela stanął w pierwszym rzędzie największych aktorów Ameryki. Stworzył postać romantyczną w swej prostocie i radości życia, wzruszającą w swej szlachetności i wysokości etyce, przemysłą w najdrobniejszych szczegółach — bliską, piękną, porwującą.

Fready Bartolomeu, dziecko o rzadkiej kulturze i inteligencji, w najsubtelniejszy sposób przeprowadził swoją przemianę, dając dużo scen o najgłębszej prawdzie artystycznej. Piękne zdjęcia morza szkunerów rybackich, połowu ryb i t. d. podnosiły wartość tego wyjątkowego filmu ożywczego i świeżego jak szeroki, słony oddech morza.

WIKTORIA

„GRA ŻYCIA”

„Amerykański film o jazzie”, jak brzmiały wyprzedające go reklamy — był dość dobrze zrobionym filmem muzycznym o banalnym temacie i mało interesującej akcji, którą jednak ratowała dobra gra aktorów i doskonale wklejki muzyczne. Historia oświecającej kariery jazzowego grajaka na trąbce, jego upadku i powrotnego wstępu przeplatana była grą doskonałych zespołów jazzowych i naprawdę piękną grą na trąbce. Scena powtarzająca się parę razy — duet trąbki ze śpiewem Caroli Lombard — leit motyw całego filmu była zrobiona doskonale pod względem muzycznym i dobrze oddawała każdorazowy nastrój bohaterów, będąc często wzruszającym odbiciem przeżyć rozgrywających się poza sceną. Carola Lombard, aktorka o charakterystycznym typie amerykańskim miała parę dobrych a nawet mocnych momentów. Szkoda tylko, że nie wykorzystano w tym filmie, choć okazja do tego była niejednokrotnie, jej naprawdę dużych zdolności tanecznych. Fred Mac Murray odtworzył dobrze postać upartego chłopca o gorącym sercu pod powłoką łodowatego zachowania. Filmy tego rodzaju co „Gra życia” mimo banalności treści i braku wszelkich wartości życiowo-psychologicznych mogą zawsze liczyć na powodzenie u publiczności lubiącej jazzową muzykę, śpiew i ładne kobiety. Tym też sobie trzeba tłumaczyć, że nowe kino „Wiktorii” wzięło go na pierwszy numer swego repertuaru.

T. S.